



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidtów kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## ŻYCIE POWSZEDNIE.

Święta — to życia zbytek i życia poezya, odpoczynek po trudach i jasny promień wesela, wprowadzony w to surowe prawo obowiązku, który zapowiada: — Będziesz pracował w pocie czoła!.. Ludzie radzi też zbierają się wtedy w grona wesole; rodziny, przyjaciele gromadzą się w drużyny, aby ochoczo użyć święta, po którym przecież obudzić się trzeba nazajutrz do potrzeb, trosk, pożądań wstających razem z nami, i od których nie możemy odwrócić się obojętnie pod karą niedostatków, czyniących nas nędzarzami. Tak jest z nami dziś, tak będzie jutro; co wieczór kłaść się będziemy na odpoczynek, co rano wstaniemy do odrobienia naszego działu pracy, i to jest życie nasze powszednie, które płynie dzień za dniem, najczęściej niekontrolowane, nierozbierane i tylko też w perspektywie przeszłości lub przyszłości oglądamy całość życia, które wtedy dopiero odziewamy się nam przed myślą w uroczysty majestat tej rzeczy wielkiej, która jest istnieniem człowieka na ziemi.

I źle to jest i dobrze, że się tak dzieje. Uczucie ważności każdej chwili czasu przynosiłoby nas ciężarem za wielkim, gdy drugostronnie nie dość odczuwamy, co to ucieka nam w rozdrobnieniu godzin i dni — w maluczkich pożądaniach, porywach, zadaniach spraw codziennych, które względnie do życia zdają się być niczem, a są nie mniej życiem samem. Przecież moralny instynkt człowieka ostrzega nas dość bacznie; jeżeli dopuszczamy się tu złego: wstydzimy się za nie sami przed sobą, uczuwamy za to żal do samych siebie i czujność pewna jest w tym kierunku

niemal ogólnie rozbudzoną w człowieku, który już ostatecznie złym nie jest. Obok tego wychowawcy i moralisci rozbierają te stany ducha i wpływ ich na życie; piszą się o tem książki ostrzegające, że są to ukryte w nas moce złego — instynkta drapieżnego, rosnące z małych pożądań na chucie wielkie i pochłaniające niejednokrotnie szlachetniejsze, wyższe przymioty ducha — zasoby dobra, które uczyniłoby z nas ludzi uczciwych, żyjących w zgodzie z obowiązkiem. Ale nasze życie powszednie nietylko potrzebuje się bronić przed powszedniemi wadami — przed złem powszedniem; człowiek, Bogu dzięki! ma w sobie i skłonności do dobrego: ma wrodzone porwy, które każą mu pełnić raczej to dobro, niżeli zło, i każda niemal istota ludzka obdarzona jest pewną cnotliwością, które się objawia w stosunkach jej życia do ludzi innych. Człowiek pragnie być dobrym, nietylko względem tych, których kocha; chyba też, nienawidząc już, wyrządza on drugiemu krzywdę chętnie a wiekowa kultura moralna społeczeństw chrześcijańskich sprawiła, że powszednie życie każdego człowieka, który zowie się uczciwym, przedstawia pewien obraz cnoty. Że przecież uważamy to za prosty i naturalny nasz obowiązek, nie przykładamy już do tego — do cnot drobnych powszedniego życia, wagi ani uwagi szczególnej, a przecież grunt to jest na którym rodzą się jedynie cnoty wielkie — atmosfera duchowa, którą oddychając, utrzymać się możemy jedynie na poziomie moralnym, zowiącym się dostojnością ludzi uczciwych, czystych rąk i serc.

Drobne cnoty powszedniego życia dają nam dobrą praktykę cnotliwości i gdy wybije godzina jakaś dla istnienia naszego ważniejsza, znajduje się już w nas jakgdyby uprawiona rola pod mężne podjęcie obowiązku, który wymaga wyższego podniesienia sił ducha. Nie rzuci się w wodę za tonącym swem dzieckiem matka, która, siebie przedewszystkiem kochając, dla siebie też żądała wciąż poświęceń, a sama nigdy nie dla drugich

nie czyniąc, nie nauczyła się ofiarności. Podobnie dziecko, psute pieczętami, które stawiały je zawsze na planie pierwszym, ani rodzicom za ich miłość równem uczuciem nie odpłaci, ani go nigdy i dla nikogo w tym stopniu nie uczuje i we wszystkich związkach życia zimnym głazem wobec najtkliwszych ofiar serca pozostanie. Życie się z ideą moralną — to wielka, ogromna dźwignia dla człowieka. Podajemy już wtedy barki pod ciężary i bierzemy je, aby nieść, bo pojęcie obowiązku złączyło nam się w umyśle z pojęciem takiej konieczności, przed którą już się wybiegać nie można, bo tuż poza tem zaczyna się już błąd i wina. Entuzjasta może zawołać, że poniżej to człowieka takie urabianie go do cnoty — do obowiązku, do tego, co jako cel ukochał jego i dążności powinno w nim tkwić jako jądro jego istoty moralnej: czy przecież nie w ten sposób dostaje się człowiekowi wszystko co posiada? Tak rozwijają się w nim władze ducha i ciała, tak wyrabia się siła fizyczna, tak sztukmistrz pokonywa trudności techniki, kształci zdolność wychowawczą, aby, panując nad przedmiotem podanym mu przez natchnienie, nie znajdował już na drodze swojej tych przeszkód drobnych, któreby wstrzymywały rozpęd jego zapału — wiązały skrzydła jego geniuszu.

W zakresie powszedniego życia dokonywają tego nawyknięcia uczciwe: praktyka cnot które wyrabiają w nas stan uczuć, zgodnych z ideałem naszym moralnym, — broniącym abyśmy nie potknęli się na drodze życia ślizkiej i spadzistej. Człowiek jest istotą ułomną i katechizm liczy nam do grzechów przeciw Duchowi S-mu zbyteczne w siły swe zaufanie, a przytem nie można być i zimnym i gorącym. Kto piękno kocha — do brzydoty odrząć czuć musi i ten tylko ma prawdziwe uwielbienie czystości, kto nawet obrąbkiem szaty swojej nigdy się błota nie dotknął, a wiemy też, że zawsze i wszędzie, wśród społeczeństw wszelkich, upadek wyższego nastroju uczuć, wyższego

polotu duchów zaczynał się od pobłażliwości na złe wśród stosunków życia powszedniego.

Przysłowie, które powiada:—Pokaż mi twoich przyjaciół, towarzyszy twego życia, a powiem ci kto jesteś... daje się tak wyłożyć w rozszerzonym tekście swoim: pokaż mi twoje życie powszednie, twoje nawyki i upodobania, twoje drobne cnoty i wady, a powiem ci, jakim jest rzeczywistość gruntu twojej duszy i czego można się spodziewać po tobie nie w danej chwili jakiegoś pojedynczego czynu, ale w wypełnianiu trwałym tych obowiązków, które są pracą życia. Hiszpan nie myli się twierdząc, że przez zgubioną podkowę konia pada rycerz, bo bywa tak nieraz, nie sto razy, że jakiś mały niedobór w rynsztunku naszym moralnym zatrzyma nas nędznie na wpół drogi do szlachetnego celu, wysadzi z siodła i każe niekiedy runąć o ziemię. Jak grosza, wydanego rozrzutnie na cukierek, może zabraknąć potem na chleb, który utrzymuje życie, tak jest i z zasobem moralnym. Kto nie dopuszcza do siebie w życiu powszednim zbrodni małych, nie daje im się wiedź na pokuszenie, nie wyczerpuje sił na szamotanie się z niemi, skoro chcą rozwielić się w nim zanadto, i jest tą istotą z jednej sztuki, która przedstawia doskonalszego człowieka, zdolnego w danej chwili do doskonalszego czynu, gdy skupi w sobie wszystkie nierozmarnowane licho siły i stanie mocny do pracy uczciwej.

Stanowi o tem życie ludzi powszednie i kładzie też na nie musimy nacisk tak wielki, jak wielką jest dla człowieka rzeczą oddychanie powietrzem czystym, niezawierającym w sobie miazmatów, które wprowadzają mu w organizm zarody choroby, ale jest i tu przecież niebezpieczeństwo jedno i bardzo ważne. Życie powszednie nie może bez szkody podbić sobie człowieka zanadto, nie może zabierać go całkowicie dla swoich cnót niewątpliwie potrzebnych i pożytecznych, ale nie jedynych, dla istoty z duszą wyższą, z uczuciem szlachetniejszym. To wszystko, co za ważnością nawyknień przemawia, powinno zarazem budzić w nas czujność pilnującą, aby właśnie przez tych nawyknień siłę nie utonąć całkowicie w owych drobnych cnotach codziennego życia, które mogą nam zasłonić horyzonty życia szersze—cnoty wielkie: to co tworzy ludzi wyższych, a każdej szlachetniejszej jednostce daje żywsze bicie serca dla wysoko stojących ideałów ludzkości—wielkich ludzkości tej spraw, wielkich aktów poświęcenia, wielkich porwów ducha ludzkiego. Przy takim jedynie nastroju uczuć nie byłoby nigdy Kolumba; Kopernik nie wpatrzyłby się nigdy w niebo gwiazdziste i nie zawołał by: Stań słońce!.. a ludzkość byłaby dotąd pogrążona w błędzie i ciemności. Człowiek z podnioslejszym duchem w piersi ma prawo i obowiązek sięgać wyżej, oddać się myśli swojej i poświęcić jej całkowicie życie, co niech branem mu nie będzie za egoizm, za samolubne oderwanie się od ludzi, bo dla nich, to on pracuje—dla ludzkości i idei, która jest mu gwiazdą przewodnią. Ale nie rozwiązuje go to bynajmniej z tych nakazów moralnych, które stanowią o uczciwej czystości życia, o szlachetnym omijaniu kałuży błotnistej, o panowaniu nad złą namiętnością.

Tak tylko, wiążąc drobne, pokorne cnoty powszedniego życia z celem tego życia górnym, nie maleje się przez nie, ale przeciwnie, ma się w nich sprzymierzeńca, przyjaciela dobrego, dającego nam pomoc przez wyrobienie sił potrzebnych, wytwarzającego nam usposobienie ducha czyste—uczciwość tę niby pospolitą, które jednak broni przed złem tak wielkich, jak maluczkich tego świata i w danej chwili oddaje nas zadaniom życia wznioślejszym zdolnych je podjąć i gotowych do tego. Można to sobie postawić jako twierdzenie niezbitne, że drobne cnoty życia powszedniego, mające nad sobą górne światło myśli wyższej, nie doprowadzają nigdy do skarlenia, a tylko dają nam żywotność duchową, dzięki im niesłabnącą w zastojach, bo cnota jest zawsze cnotą w zastosowaniu swem najdrobniejszym, — w czynie najprostszym, tak jak brylant jest brylantem w odpiłku najdrobniejszym a światło światłem, choćby w iskieńce najmniejszej. Człowiek nie może bezkarnie być półbogiem, żyjącym tylko w atmosferze olimpijskiej: musi on na twardym gruncie

ziemskim żyć pod prawem rządzącym całą ludnością—musi pozostawać zawsze w bratnim z nią związku i dla idei dobra i piękna moralnego współz życia pracować, nawyknięcia dobre, zdolności i siły do pracy, tak jak, każdy z jego bliźnich, z dnia na dzień sobie zdobywać. Jest zawsze i dla każdego pole do tego—niech nikt nie mówi, że drogi pracy są dla niego zamknięte, bo próżniak tylko ich nie widzi, próżniak tylko wie, gdzie istnienie bezcelowe, a najniższy i najwyższy pomiędzy ludźmi jednakowo stoi pod prawem moralnym, które rozciąga się zarówno do wszystkich, tak w wielkich aktach życia, jak w życia tego biegu powszednim.

Marya Ilnicka.

## TRZEJ KRÓLOWIE.

Byli tutaj Trzej Królowie po kołędzie  
I wieścili:— Pokój Boży niech tu będzie...  
Niechaj duchy w piersiach ludzkich się nie chwie-  
Niechaj serca biją wiarą i nadzieją,  
Niech miłości iskra płonie w głębi łona,  
Pod ciężary niech podstawią się ramiona;  
Dołę swoją niechaj ludzie mężnie niosą,  
Choćby czoła się zlewały znoju rosą,  
Choćby mdlały pod brzemieniem onem nogi.  
Každy przecież dojdzie kresu swojej drogi,  
Na spoczynek snu cichego się położy,  
I skrzydłami go nakryje Anioł Boży.

M. I.

## DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWAŁEWICZA

(Dalszy ciąg.)

Tak wyglądał Fatt junior w chwili, gdy obejmował firmę po ojcu; od tego czasu zmienił się nieco; pewna skłonność do otyłości, odziedziczona po matce, zaczęła się objawiać u niego w niejakiem zgrubieniu karku, rąk pulchnych i czerwonych, policzków wypełnionych i w ogóle w stężeniu powolnym, lecz już widocznym, wszystkich kształtów, zdrowiem i siłą nacechowanych.

Znać było w nim człowieka, który pomimo lat swoich trzydziestu kilku dopiero, mało ruchu używa i czasami ciężałym się stanie w wygodnym, sybaryckim życiu.

Odmienne zupełnie wrażenie robił brat młodszy ze swą kędzierzawą gęstą czupryną, z otwartym, wesołym spojrzeniem jasnych, pogodnych oczu, z wąsikami blond, podkręconymi w górę z niejaką junakeryą, i małą, puszystą bródką, która mu się sypała złotawym runem.

Młodość, szczęśliwa, swobodna młodość, była z tej twarzy, rozpozgodzonej stałym, jakby przyrośłym do niej uśmiechem, a w tym uśmiechu, ujmującym swą świeżością, była niezmacona radość życia, zdrowia, siły, ufność do świata i ludzi, ten błogosławiony humor i optymizm lat dwudziestu pięciu, którego żaden jeszcze zawód nie zwarzył i nie omroczył cieniem smutku lub goryczy.

Trzecia fotografia na biurku starego Fatta wyobrażała podlotka w białej muslinowej sukience, z dwoma grubymi kosami czarnych włosów, spływających na ramiona zpod pasterki, nasuniętej na tył głowy, przybranej w maki i kłosy żytnie.

W czternastym roku życia panna Liza wydała się tą zwyczajną poczwarką dziewczęcą, z której rozwinąć się miała dopiero dorosła panna i zdecydować rodzaj piękności, zapowiadającej dopiero jeden niewątpliwie efekt: czarne, bujne, o fioletowym niemal połysku włosy przy białej, przezroczystej i jak liść kameli równiej w swej matowej białości cerze.

Przed temi trzema fotografiami wznosił się na marmurowym postumencie srebrny posążek Cerery z sierpem w ręku, pomiędzy kowadłem a pługiem, ozdobiony rzymską cyfrą XXV.

Był to jubileuszowy podarek, który swojemu szefowi i chlebobdawcy ofiarowali wdzięczni współpracownicy fabryki przy pożegnaniu, z życzeniami, aby zasłużona firma pod nowym sterem obchodziła złote wesele z przemysłem krajowym.

Przy tem biurku stary Fatt dnie całe spędzał zimą i latem, nie ruszając się prawie z domu.

Jedyną rozrywkę jego stanowiły gazety, specjalne pisma, księgi wynalazków, które przeglądał z wielkim zajęciem, dużym niebieskim ołówkiem robiąc na marginesach swoje uwagi, zakreślając ważniejsze artykuły, które potem odsyłał synowi do kantoru, z krótką adnotacją: „dobre, wartoby zastosować“, albo: „głupstwo, niema co; próbowałimy przed dziesięciu laty—do niczego“.

Praktyczny jego doświadczony umysł zdobywał się niekiedy na oryginalną inwencją, poprawiał cudze pomysły i wprowadzał proste, a doskonale niekiedy w zastosowaniu zmiany. Brał wtedy arkusz zwyczajnego papieru i kreślił na nim szkicowo projekty machin ulepszonych, lub pojedynczych części, podawał wymiary, robił obliczenia i takie notatki dołączał do książek, lub do pism, szczególnej uwadze syna polecanych.

Zwykle w rozmowach następnie z Karolem prowadzonych, stary praktyk swoje wywody kończył słowami:

— Zresztą ty się tam lepiej dziś znasz na tem; masz więcej teoryi, boś się uczył,—zrób, jak uważasz. Mnie się tylko zdaje, że to możnaby zrobić w ten sposób.

— Zobaczmy, zobaczmy — zbywał go najczęściej syn, który te wszystkie pomysły mechaniczne starego ojca uważał za niewinną manią i zabijanie czasu.

— Stary się nudzi,—mówił sobie z uśmiechem, rzucając do szuflady ojcowskie notatki;—jemu się zdaje, że my mamy czas na eksperymen?—Właśnie... a potem na co to wszystko?... Maszyna i tak idzie, tylko więcej pary i węgla. *Grande vitesse*, to grunt.

Od początku zimy stary Fatt ślezczał nad nowym projektem, który znalazł w jednym z tygodników angielskich; chodziło mu o skonstruowanie młocarni z nowym zupełnie układem trybów przy możliwie największej oszczędności siły.

Zdawało mu się, że jest na drodze do zrobienia genialnego wynalazku na podstawie pomysłu angielskiego mechanika, byle tylko potrafił pogodzić pewne sprzeczności i usunąć niektóre zawady w konstrukcyi.

Kilka tygodni pracy i szperania zajął mu ten projekt, przygotowywany na niespodziankę dla Karola.

Pochylony nad biurkiem siedział właśnie z cyrklem w ręku i rozmyślał nad układem głównej osi, do której przyczepione były żelazne cepy, gdy posłyszał w przyległym salonie ożywioną rozmowę, podniesione głosy kobiet i szczebiot dwójga dzieci, dobrze mu znany.

Była to godzina południowa, godzina zwykłej wizyty syna albo synowej.

Zwiczrzone brwi starego rozsunęły się nagle, siwe oczy zaświeciły radością, pomarszczona twarz rzadkim, dobrze już szpakowatym pokryta zarostem, nabrała wyrazu błogiego zadowolenia; wyczekująco spojrzął ku drzwiom i przyglądał jednocześnie obiema rękoma włosy, spadające mu gęstymi jeszcze kosmykami na poorane czoło.

— Dziadziu, dziadziu!.. — słyhać było cieniutki głosik pięcioletniego wnuczka Wila, któremu towarzyszyła o rok młodsza jego siostrzyczka Tonia.—Dziadziu, Wiluś ma konia!.. No, *vorwaerts Boom*, wio!..

Drzwi się otworzyły szeroko i oczom dziadka przedstawił się widok, godny pędzla artysty.

Na ogromnym, wspaniałej rasy, dogu wjechał śliczny chłopaczek w popielatym pluszowym spencerku, w lakierowanych bucikach ze sztylpami, w futrzanej czapeczce z popielic, w niebieskim fularze na szyjce; okrągła rumiana buzia, zaczerwieniona od mrozu i emocji promieniła dumą i zadowoleniem.

Obok niego, jak gałka ze śniegu, toczyła się na grubych, pulchnych nóżkach, całkiem białą ubrana w bajowy kostium dziewczynka, prowadząc z wielkim przejęciem na rzemiennym pasie wspinałego wierzchowca, na którym jej dzielny braciszek paradował.

Za tą dziecięcą grupą ukazały się dwie postacie kobiece: uśmiechniętej babuni i ciotki Lizy w towarzystwie szczęśliwego ojca tej uroczej pary dzieciaków.

— A to co za najazd! — wołał stary Fatt, udając niezmiernie zdziwionego tą kawalkadą — a to kto taki?... a to co znowu?..

Ogromne psisko z powagą wkroczyło do gabinetu, rozglądając się swemi okrągłymi, czarnymi ślepiami dokoła i jakby rozumiało swój obowiązek tak pobłażliwie przyjęty, zaniosło małego jeźdźca wprost do dziadka, siedzącego w fotelu.

— Dziadziu, dziadziu! — krzyczał chłopak, siłując się w chaosie głosów i śmiechów zwrócić na siebie uwagę starego — dziadzio widział kiedy takiego konia?!... puść, Tonia, puść pas, ja sam pojadę.

Ale dziewczynka ani myślała pozbyć się swojej roli masztalerza; drobną rączyną klepała i głaskała potężny kark doga, powtarzając:

— Dobry Boom, grzeczny Boom! Tonia kocha Booma; wio, wio Boom!..

Pies przekrzywił wspaniały łeb z przyciętymi uszami i zdawał się z zajęciem i zdziwieniem przypatrywać swej małej przyjaciółce, która nie sięgała mu nawet do grzbietu.

— Przywitajcie się najprzód z dziadzią — upominał ojciec — Wiluś, już dość tego, zleż z Booma!

Sam podszedł i podał rękę staremu na powitanie; uściśnęli się jak dwaj przyjaciele, a raczej współnicy.

— Zkądżeś ty takiego psa dostał? — spytał stary,

— Unik, prawda?... pięć miesięcy go targowałem.

— Drogi?..

— Ach, niech ojciec lepiej nie pyta; ale wart swoje pieniądze. Wziął pierwszy medal na wystawie psów we Frankfurcie. Licytowało go nas czterech i gdyby Poleski nie był odstąpił.

— Który Poleski?... hrabia?

— Tak, Guccio Poleski... nie byłbym go dostał za żadne pieniądze. Czy ojciec widział, co to za szerść?... a jakie nogi! Najczystsza rasa. Boom da her!... *schoen Tatzten geben*, na — podaj panu łapę, słyszysz!

Pies powoli, z powagą, podniósł swą grubą, muskularną łapę i położył ją poufale na kolanie starego Fatta, jak atleta przyzwyczajony do popisowania się swemi niezmiernymi członkami.

— Ma dopiero półtora roku — objaśniał dalej Karol — silna bestya, jak lew. Wczoraj, jak skoczył Tomaszowi na piersi, tak się chłop zachwiał, a przecież stangret, i nie ulamek.

Stary Fatt ciekawie przyglądał się laureatowi wystawy frankfurckiej i głową kręcił.

— No tak, prawda, bardzo piękny, ale co ci z niego?!... zje tyle, co dorosły człowiek, a pożytku żadnego — rzekł w końcu.

— Cóż ojciec chce, żeby robił?... świetny okaz. Drugiego takiego z pewnością niema w całym mieście.

Stary wzruszył ramionami.

— To i cóż!... obeszłoby się i bez tego.

— A na czym jabym jeździł? — wtrącił Wiluś, który się przysłuchiwał rozmowie ojca z dziadkiem, podczas, gdy babka i Liza rozbiierały Tonię z okrycia i białej kapuzy z pomponami.

— Zostaniesz u babci, zostaniesz? — pytała z pieśczętą stara Fattowa wnuczkę, która nastawiała jej okrągłą swą, świeżutką buzię do całowania, ale dużemi niebieskimi oczyma wodziła za psem, wykręcając niby ptaszek śliczniutką główkę, pokrytą cienkimi jak pęta włosami, spadającymi jej w lokach na ramiona

— Zostanie, zostanie Tonia — odpowiadała z roz-targnieniem, dopytując się wszelako wśród pieszczoł babki i ciotki:

— Ale Boom też zostanie, prawda?... Boom nie pójdzie z tatusiem, tylko z nami?..

Wiluś siedział już u dziadka na kolanach i opowiadał mu z wielkim przejęciem o zębach Bo-oma, które umie pokazywać na komendę.

— Tylko ty uważaj, żeby on cię kiedy temi zębami nie hapsnął — przestrzegał dziadek swego faworyta — tak, tak.. zrobi haps!... i połknie całego Wila.

— Całego?... — z poważnym niedowierzaniem pytał chłopak, nie dając się zastraszyć dziadkowi — całego?... ależ to być nie może!

— No, zobaczysz.

— A to on-by Tonię prędzej hapsnął odemnie.

— Dlaczego?

— Bo Tonia mniejsza, ale dziadzi toby już nie hapsnął, boby się bał, prawda?..

Chłopak świegotął to z takim wdziękiem, wymawiając każde słowo dobitnie i wyraźnie bez tej spieszonej dykeyi, właściwej dzieciom, wpatrując się badawczo w same oczy dziadkowi i opierając swoje drobne rączęta na ramionach starego, że rozkosz brała patrzeć na malca.

— No, ja wam tu moje pociechy zostawię — odezwał się Karol do matki i siostry — a sam uciekam, bo mam ważne zajęcia w fabryce. Expedujemy dzisiaj dwie lokomobile. Słuchaj Liza, za godzinę przysłę ci powóz, to Wila i Tonię odwieziesz do domu, dobrze?... ja i tak wrócę później dzisiaj na obiad.

Liza spojrzała na matkę pytająco.

— Zostaw nam dzieci do wieczora, — zaproponowała Fattowa.

— Nie mogę; Wandzia kazała im wracać, zresztą przyrzekłem jej sprowadzić Lizę koniecznie. Toniu, a pamiętasz, co mama kazała ciotce powiedzieć?..

Dziewczynka popatrzyła na ojca dużemi oczyma i zrobiła minkę zakłopotaną.

— No, cóż mamusia mówiła?... co będzie na obiad dzisiaj? — poddawał ojciec pamięci dziecka.

— A, już wiem, — zawołało dziewczętko i obejmując ciotkę rączkami za szyję, przytuliło swą śliczniutką buzię do jej ucha i niby w tajemnicy, ale głosem podniesionym rzekło:

— Mamusia mówiła, że na obiad będą ponczki i pan Turturek.

Po liliowo-białych licach panny Lizy przemknął jak różowy cień lekki rumieńczyk, podniosła swe spokojne, ciemno-niebieskie oczy na brata i uśmiechnęła się do niego, jakby z wymówką.

— No, moja droga, skoro będą ponczki i pan Turturek, to już musisz przyjechać — nieprawdaż mamu? — spytał, zwracając się do matki i z szczególniejszym naciskiem powtórzył: — pan Turturek!..

Potem ucałowawszy matkę w rękę i zlekka dotknawszy czoła Lizy ustami, rzekł:

— Zatem do widzenia, powóz ci odeszł z fabryki. Dzieci niech tu nie hałasują i Booma nie męczą. Bądźcie zdrowi... ale!.. nie spytałem ojca w tym harmiderze o zdrowie dzisiaj; jakżeż tam?..

Stary Fatt rękę mu podał.

— Doskonale!.. powiadam ci, że jak tak dalej pójdzie, najmę się do fabryki na prostego kowala. Muskuły mi odrastają w nogach, o patrz, co to za lydki!..

Śmiał się wesoło; widok syna i wnucząt wprawił go, jak zwykle, w wyborny humor.

Karol dotknął podstawionej nogi ojcowskiej palcami i odparł:

— Prawda, prawda!.. żelazo!.. no, niechże się ojciec szanuje, żeby mógł tańce prowadzić na weselu Lizy.

Tosamo wymowne spojrzenie, co poprzednio, padło znów na brata z niebieskich oczu siostry i tensam uśmiech poruszył jej kształtne, jak z dwóch płatków róży wykrojone, usta.

— A kiedyż ty ją nareszcie myślisz wydać za mąż? — spytał stary Fatt niby pół żartem, a pół poważnie.

— Skoro tylko pan Turturek się oświadczy.

— Słyszysz Liza, będziesz panią Turturkówną! — zwrócił się do córki, stojącej za jego fotelem

i swoją grubą, pomarszczoną i śniadą ręką, porośniętą niby mchem starości, włosami, pogłaskał ją po twarzy.

— Ha no, *so Gott will, ich bleib still!* — dodał i ta myśl widocznie sprawiła mu głęboką radość i rozpogodziła duszę, jak wiosenny promyk słońca wpuszczony do ciemnicy. — Czego się tak śpieszysz Karol! — zawołał, przytrzymując rękę syna — wpadasz teraz, jak po ogień; ani pogadać z tobą, ani się spytać o nic...

— Interess, mój ojczu, czasu niema!..

— No, wiem, wiem, żeś zajęty, ale mógłbyś nam jaką godzinę raz na tydzień poświęcić, — mówił stary tonem wymówki — cóż, jakże idzie?.. kontent jesteś ze wszystkiego?

Karol uśmiechnął się z przymkniętymi oczyma.

— Robię miliony, mój ojczu — rzekł niby lekceważąco — wkrótce nie będę wiedział, co począć z pieniędzmi.

Stary patrzył na niego badawczo przez długą chwilę i trzymając ciągle jego rękę w swoich, uściśnął ją tylko silniej za całą odpowiedź, a uścisk ten miał znaczyć:

— Szczęść ci Boże, mój synu. Kontent jestem z ciebie, Karolu Fatt, mój spółniku i szefie naszej starej firmy.

W dziesięć minut później elegancki powozik na gumowych kołach unosił pana Karola, wracającego z wizyty u rodziców, ale nie w stronę fabryki, która ekspedowała dzisiaj dwie lokomobile i wymagała tak pilnie obecności samego szefa.

Fatt junior miał przedtem do załatwienia interes w jednym z najpierwszych zakładów ogrodniczych; potrzebował na dziś wieczór koniecznie poduszki z żywych kwiatów, ułożonej jaknajgustowniej, z symboliczną lirą z róż i kamelij, której rysunek własną ręką naszkicowany zostawił na wzór ogrodnikowi.

— Czy rachunek mam przysłać do kantoru? — spytał subjekt, notując w księdze przyjęty obsta-lunek.

— Nie, nie trzeba, ja go zaraz załatwię.

— Rubelków czterdzieści.

— Tamta była tańszą, oile sobie przypominam?..

— Tak, ale to karnawał, róże sprowadzamy, kamelie podrozały, przytem ułożenie liry jest kosztowniejsze... Niech mi pan dyrektor wierzy, sami na tem niewiele zarabiamy — tłómaczył z najsłodsza miną ogrodnik, jakgdyby był dostawcą nie żywych, ale z cukru wyrabianych kwiatów. — Zresztą — dodał ze znaczącym uśmiechem — eóż to dla pana dobrodzieja różnica pięciu rubelków!..

— Zatem na siódmą?..

— Punktualnie. Czy mam odesłać?

Fatt jun. namyślał się chwilę.

— Nie, nie trzeba, ja przyszlę sam.

— Sługa pana dobrodzieja, pięknie się polecamy!..

Skinawszy głowę, wybiegł szybko ze sklepu, wskoczył do powozu i rzucił stangretowi krótki rozkaz:

— Do fabryki.

Potem kolana okręcił angielską derką granatową, na ręce wciągnął jaszczurcze eskimosy i z miną poważną, jakgdyby przed chwilą załatwił interes krociowy, oparł się o poduszki z przymrużonymi oczyma i pograżył w myślach, które bardzo daleko krążyły od fabryki i interesów starej firmy.

Z tej twarzy spokojnej na pozór i zimnej trudno było wyczytać cośkolwiek; wygolone i odsłonięte zupełnie usta pomiędzy jasnemi bokobrodami poruszały się niekiedy lekkim, zaledwie dostrzegalnym uśmiechem, ale natychmiast poważny wyraz wyglądał drobne zmarszczki w ich kąci-kach i przywracał zwyczajną nieruchomość fizjognomii.

W chwili, gdy powóz Fatta zbliżał się do bramy fabrycznych zabudowań, wzdłuż muru okrążającego dziedziniec szedł powoli młody człowiek, średniego wzrostu w popielatej lisiurce, w wysokich butach i czapce bobrowej; obok niego postępowało skromnie, ale z pewnym smakiem ubrane dziewczę, zajęte widocznie wesołą z swym towarzyszem rozmową. Co chwila jej płowa główka w barankowym toczku zwracała się ku niemu

i słycać było zdala swobodny śmiech dziewczęcia, wywołany jego słowami.

Tętent koni na bruku zwrócił ich uwagę; oboje obejrżeli się jednocześnie i, spostrzegłszy powóz, zarumienili się, jak na gorącym uczynku złapani. Nie zatrzymali się jednak i szli dalej.

Karol stanął na stopniach powozu i ze zmarszczoną brwią spoglądał czas jakiś za oddalającą się parą; potem, zeskakując nagle, zawołał na stangreta:

— Wracaj do państwa starszych; po mnie przyjechać o czwartej.

Raz jeszcze rzucił okiem w stronę powoli kroczącej pary i z wyrazem niechęci, który mu usta skrzywił, mruknął w duchu:

— Trzeba się będzie raz z panem bratem na prawdę rozmówić.

Odźwierny z czapką w rękę otwierał mu furtkę, opatrzoną oszklonem okienkiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Władysław Żeleński

w WARSZAWIE.

Któż nie zna sympatycznej postaci genialnego kompozytora, którego tyle lat posiadając w naszym gronie, musieliśmy nareszcie odstąpić Krakowu? Nad czem tam nasz kompozytor pracuje, pozostaje nieraz nadługo tajemnicą, aż potem, w danej chwili odsłania się rąbek zasłony i dowiadujemy się o nowo-powstałym dziele, lub też w głównych zarysach o treści zamierzonej pracy.

Do tych szczęśliwych chwil, zaliczamy i tegoroczny przyjazd Żeleńskiego do Warszawy.

Wpadłszy nakrótko, rozrywany na wszystkie strony, Żeleński dla swych przyjaciół istniał, lecz w takim wirze niedochwytnym, że bardzo długo czekając i z wielkim trudem, zdołaliśmy go sobie nareszcie zjednać na małą godzinkę młęgo sam-na-sam.

Wrażenia właśnie tej jednej godziny, te nowe uroczyste widzenia z dziedziny naszej sztuki, które nam odsłonił pełen zapału autor, pragnęlibyśmy tutaj wypowiedzieć. Przedewszystkiem poznaliśmy trzy nowe pieśni do słów Konopnickiej. Pierwsza, o szerokim, smętnym temacie, ściśle zespolonym z misternym akompaniamentem, coraz bardziej ożywiający się, im dalej pieśń się rozwija, jest ilustracją do wiersza „Z nocy letnich“; druga „Na fujarce“, jako zadanie bardzo trudne, budzi wiele zajęć przez umiejętne uniknięcie monotonności, która przy pięciokrotnym powtarzaniu się strofy muzycznej była prawie nieuchwytną. Wiersz nie dopuszczał urozmaicenia melodyi bez zatracenia charakteru pieśni narodowej, autor zatem, pozostawiając melodią tęsamą, wzbogacił ją akompaniamentem pełnym nowych zwrotów harmonicznym, które, dając coraz inny koloryt podkładowy strofom melodyjnym, czynią całość wciąż zajmującą. Ostatnia z tych trzech pieśni „Z łąk i pól“ traktowana w formie ballady, zawiera najwięcej siły lirycznej i bogactwa. Na kontrapunktycznie osnutym akompaniamentem, wiele charakterystycznym przez pewien odźwięk starożytny tonacy i zupełną skończoność samą w sobie, rozwija się śpiew, pełen akcentów dramatycznych i gorących porywów uczuciowych. Ta pozorną niezależność akompaniamentu od śpiewu, wytwarza wielkie bogactwo efektów fonetycznych i nadaje niezwykłą świeżość frazom melodyjnym. Tu w nawiasie dodamy, że pieśni te Żeleński sam sobie akompaniując, śpiewa (wprawdzie głosem, który na żadnej scenie powodzenia-by nie doznał), lecz śpiewa tak, że może służyć za wzór wszystkim wykonawcom śpiewakom, jak się to pieśni pojmuje, jakie znaczenie kolosalne ma dykcya w śpiewie i ile swej duszy włożyć trzeba w wykonanie, by stało się ono po-

rywającym dla słuchaczy. Trzy te prześliczne pieśni przegrywał Żeleński z rękopisu, lecz entuzjazmując, budziły one w nas nowe pragnienia: gdyby jeszcze, jeszcze coś posłyszeli! Wszakże Balladyna się tworzy, wzrasta i jest już prawie na ukończeniu.

Nie śmieliśmy upominać się, mimo gorącego pragnienia zapoznania się z tem dziełem, lecz powoli, sam w sobie się podniecając, artysta zaczął z pamięci i oto najważniejsze momenta opery przesunęły się przed nami, poczynawszy od muzyki baletowej. W akcie trzecim, na zamku Kirkora uroczyście; zabawę rozpoczyna polonez. Wstęp rycerski, uprzedza wejście głównego tematu, zarysowanego w duchu prawdziwie narodowym; jego płynność, jak również charakterystyka, bo gactwo harmoniczne brzmienia i nastrój pełen szlachetnej powagi, czynią wrażenie wspaiałe siły i wielkości. Lecz nagle druga część wprowadza nas w inny świat, w świat idylli wiejskiej, świeżej powiewem wiosennym od pól i lasów, naiwnej ludu naszego prostotą. Jest to temat wzięty prawie w całości ze zbioru Oskara Kolberga oryginalnych pieśni ludowych. Trudno wyrazić, ile efektu robi zestawienie tych różnic typowych, jak mistrzowsko autor umiał zastosować całe opracowanie do tej prostej melodyi i wdzięcznie ją rozwinąć. Trzecia część powraca do charakteru pierwszego. Gdy polonez skończony rozbrzmiewał jeszcze i odtwarzał się w naszej myśli, rozbudził nas nowy rytm, ognisty, z szaloną werwą tętniący: to krakowiak, druga część baletowej muzyki, i czem dalej, tem rytm staje się żywszym, wszystko się miesza, kotłuje, a od czasu do czasu, wyrwa się z tej masy tonów; wykrzyk silniejszy zapanuje chwilę i zginie.

Jestto prawdziwy obraz zabawy ludowej, ze zgiełkiem jej wesołości, podpatrzony jakby z natury, i stanowi silny kontrast z następującym trzecim tańcem, mazurem, który ma charakter czysto rycersko-szlachecki; cała pierwsza część jest w tym duchu, w triu tylko występuje temat więcej powiewny, łagodniejszy, jakby w tej chwili zaznaczający wśród zabawy przewagę żywiołu niewieściego.

I tak dalej, jakby z kłębka, rozwijały się inne pomysły z opery. Wśród nich jednym z najpiękniejszych momentów jest: gdy Kirkor, widziany przez jaskółkę do matki dwóch cór, w niepewności i tęsknocie za szczęściem, nieświadomy źródła niepokoju, wypowiada swe pragnienia w prześlicznej „Cavatynie“, która, jak wszystkie motywy Żeleńskiego, mistrza w pieśni, oddaje odcienie uczuć bohatera we właściwym a poetycznym nastroju.

Tęsamą trafność w charakterystyce uczuć posiada szkic do duetu Aliny z Balladyną. Pierwsza, pełna spokoju i dziewczęcej łagodności, druga, z burzą zawiści wstrząsającą jej ponurą duszę, stanowią przepysny kontrast duchowy, który muzyka podchwytuje i uplastycznia.

Już-to autor w samym poetycznym dramacie posiada wielkie bogactwo kontrastów typowych, które dają wdzięczne pole jego twórczości. Wspomniemy, na przykład, jeszcze postać Grabca, już wyraźnie zarysowaną w piosence zza sceny, malującej naiwność jego i prostactwo.

Żeleński, nie tylko ilustruje uczucia swych bohaterów, nie tylko nadaje swym postaciom tematyczny charakter, skreślony typowo, lecz i przewodnie idee całej akcji stara się ujmować w pewną barwę muzyczną. I tak, śpiew Skierki, gdy przedstawiając myśl matki, odzywa się: „Matko, w lesie są maliny“ stanowi ważny czynnik tematyczny i jest jednym z głównych motywów (Hauptmotiv) całej opery.

Jak widzimy, dzieło jest już posuniętem, a i niedaleką nadzieją ujrzenia go na naszej scenie; lecz Żeleński nie jest jednym w tych, co z rzemieślniczą usilnością są zdolni wciąż zajmować się jedną pracą. Twórczość jego zwraca się tam, gdzie porywa go natchnienie chwili: przeto, równocześnie z tworzącą się Balladyną, powstaje jeszcze Kwartet i Suita orkiestralna, z której już ukończony Gawot również mieliśmy sposobność słyszeć.

Niechże teraz sami czytelnicy osądzą: czy ta godzina samnasam z pracującym dla sztuki ar-

tystą, nie była godną, by jej wrażeniami się podzielić?

Juljusz Stattler.

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 22 Grudnia, 1889 r.

Polityczny ogon wyborów.—Nowa większość.—Sprawdzenie wyborów.—Prognoza.—Modyfikacja obyczajowa w Izbie poselskiej.—Ostateczny wypadek przedsiębiorstwa „Paris-Auvers“.—Rachunki golibrody.—Posiedzenie Rady miejskiej antwerpskiej.—Par p. von Werbroucka.—Gwiazdka urządzona przez panią Carnot w Pałacu Elizejskim.—Piękna myśl i dobry uczynek.—Odwrotna strona medalu.—Okropne zbrodnie: Ludwika Stackenburg, wyrodna matka; Vodable, potwór w ludzkim ciele; Régad, niewdzięczne serce.—Nowe książki: „Cudze pamiętniki“ przez Juliusza Simona.—Rozpowszechnianie wiedzy: p. Flamarion i jego „Urania“.—Influenza i jej wybrki.—Nowe zajęcia z poetą francuzkim Coppée.—Oktawiana Feuillet'a, nowa powieść i nowa komedia — czy dramat?

(Dokończenie)

Ludwika Stackenburg, mieszkała w bardzo wygodnym i elegancko urządzonej mieszkanie przy ulicy Magdeburgskiej, w bogatym okręgu Passy. Tam przyjmowała swoich wielbicieli, w liczbie których słyszymy, jak akt oskarżenia wymienia, nazwisko jakiegoś hollenderskiego bankiera, który ją hojnie uposażył, ale co ona strwoniła niezwłocznie. Lista wykazuje jakiegoś jeszcze współnika bankiera, potem metra fortepianu, potem jakiegoś wyłokę kalającego wzniosły swój zawód. Nakoniec, kiedy lata przybyły i młodość uciekła, ze swem weselem i śmiechem, wówczas zawitali też nowi, a nieodproszeni goście: niedostatek, a często prawie nędza...

Kobieta ta, cała oddana zbytkom i rozkoszy, nie miała najmniejszego uczucia macierzyńskiego w pustem i umarłem sercu. Dzieci były dla niej zawadą, ciężarem; biła je, ćwiżyła bez miłosierdzia. Ale szczególnie nienawidziła małej Maryni, dziewczeczki miłutkiej i słodkiej, podobnej do niej z twarzy, a bardzo dobrej. Takie o niej świadectwo wydała przełożona szkoły, do której uczęszczało biedne to dziecię.

— Nie cierpię dziewcząt—mawiała często Ludwika Stackenburg, z wyrazem strasznej nienawiści, patrząc na podrastającą dziewczeczkę okiem zazdrosnej kobiety: to też martyrologium tej biednej dziewczyny jest nie do opisania, a słyszymy opowieść tego, Boże wielki! z ust naocznego świadka, i najstraszniejszego ze wszystkich, bo własnego, najstarszego syna, tej matki występnej, Adryana Stackenburga. A jak się wymownie wyraził jej obrońca, p. Robert, adwokat, najpierwszą karą tej matki występnej był widok stającego przy kratkach, wobec niej i przeciwko niej, własnego jej trzynastoletniego syna. Usłyszała go przed tym sądem przysięgłych, przemawiającego głosem oskarżyciela. Głos tego rodzona syna stanowi najstraszliwszy akt oskarżenia.

Jakież-to sceny byliśmy świadkami! Kiedy ta nędzna kobieta wołała na syna, na to własne dziecię:—Adryanie! Adryanie! Patrz, wszakżem to ja, matka twoja! — dziecię to, obojętne na głos matki, i nawet niespoglądające ku niej, zaczęło głosem pacholęcym opowiadać żalostną i okrutną historią małej siostrzyczki. Biorąc do ręki, leżącą przed nim na stole rozmaite dowody występku matki—„Oto—powiadał—sukienka Maryni. Oto szczypczyki do ognia, które mateczka (którą ciągle nazywa „petite mère“) zlamala na jej grzbiecie. Oto kamień, który rozbiła na jej głowie. Oto żelazko do prasowania, którym ją piekla. Oto sznurek, na którym ją wieszala!“

Nie, dalej iść nie mam siły. Co to za straszny dramat! Shakespeare i najwięksi dramaturgowie świata bledną wobec tej sceny, gdzie okropna rzeczywistość rozdziera serce i duszę! Miano jeszcze wysłuchać młodszego brata Adrya-

na, ale prezydent sądu, wzruszony do głębi poprzednim zeznaniem świadka, tak się odezwał do przysięgłych:

„Panowie! Sprawiedliwość znalazła się w straszliwej ostateczności: musiała pozwolić synowi na świadczenie przeciwko własnej matce. To drugie oto biedne dziecię nie nauczy nas niczego więcej. Pozwólcie mi więc odprawić je bez wysłuchania.“

(Zgoda powszechna).

Załużę, ale miejsce mi nie dozwala powtórzyć tu wszystkich szczegółów zeznania Adryana, starszego syna. Jedno tylko dodać tu muszę, bo to charakteryzuje tę wyrodną matkę.

*Prezylujący.* Twoja siostra zachorowała w końcu. Czy twoja matka wezwała lekarza?

*Odpowiedź.* Nie, panie. Marynia leżała trzy tygodnie w łóżku, a ponieważ nie mogła ruszać rękoma, które były spuchnięte, ja jej pić dawałem. Siostrzyczka szczerzyła w końcu zupełnie, co dało powód matce do powiedzenia: „Teraz tyś prawdziwa murzyneczka.“ (Ruch oburzenia wśród publiczności).

„W ostatni dzień życia mojej siostry mateczka posłała mię po kapelusze na Bulwar Strasburski. Wieczorem, kiedy wróciłem, Marynia była w chwili skonu, mateczka przy jej łóżeczku, i mówiła do niej: — Maryniu, bądź dobrej myśli, będziesz miała ładną sukienkę. — Moja siostrzyczka spojrziała na nią i odpowiedziała: — Tak, mateczko! — Poczem zamknęła oczy i wszystko było skończone.“ (Przebiegłe wrazenie w publiczności).

„Wówczas mateczka włożyła jej palec w usta, a że się usta natychmiast zamknęły, mateczka powiedziała, że Marynia była niedobra, że ją ukąsiła. Pomimo to, pocałowała ją w czoło, poczem dodała, patrząc na nią: Jakkolwiek bądź, ty zawsze byłaś przecież (tu wyrażenie niepodobne do wytlómaczenia) *une petite rosse!*“ (Nowy wybuch gwałtownego okrzyku w publiczności).

Po śmierci biedną dziecinę, aby odwrócić podejrzenia, wożono, jak to powiadają od Annasza do Kaifasza, obwinęta, jak proszę, w stare dzienniki, — ale nakoniec, nie mogąc się pozbyć, musiała ta wyrodną matkę zdeklarować śmierć jej w policyi. Przybyły lekarz do skonstatowania zgonu spytał o powód śmierci. Dziecię było czarne od ran. Na twarzy, na ramionach była popalona gorącym żelazem, a te rany zaniedbane sprowadziły gangrenę i śmierć. Wówczas to straszliwe owo *monstrum* — kobieta — zostało uwięzionem i odesłanem przed sąd przysięgłych. Wyrok sądowy posłał ją na lat dwadzieścia do ciężkich robót, bo przysięgli, idąc za głosem jej adwokata, p. Roberta, potępili ją jedynie za rany i rany zadane bez zamiaru sprowadzenia śmierci.

A teraz — hyeny i tygrysy, zamilczcie! — Człowiek pod każdym względem jest waszym królem!..

Przebaczcie mi! — że przynoszę wam na gwiazdkę takie tragiczne opowiadania... Świadek tego, co tu się dzieje, nie mogę przemilczeć żadnej charakterystycznej wskazówki — kiedy chodzi o objawy złych czy dobrych prądów społeczności tutejszej. Otóż, nie ja sam jeden zauważyłem, że od pewnego czasu wzmogło się tu pewne zaostrenie na drodze kryminalu i przestępstwa... Wyemacypowanie człowieka, nietylko zpod wszelkiej władzy, administracyjnej i prawnej — ale zpod władzy moralnej; puszczanie go samopas, aż póki „*nisi sit in crimine deprehensus*“ (nie został ujęty przy uczynku występny) — stało się dla pewnych ludzi, jakby zachętą do najpotworniejszych zbrodni.

Zaledwie zapadł wyrok na występłą matkę, — aż oto w sąsiednim okręgu okrutna zbrodnia przeraziła spokojnych mieszkańców. Przy ulicy de la Roquette mieszkała wyrobnica nazwiskiem Marya Malfilâtre, z dwunastoletnią córeczką Alexandryną. Według zwyczaju klasy wyrobniczej w Paryżu Malfilâtre znała się z niejakim Vodable, który żył z tego jedynie, co wyciągnął od przyjaciółki i od starej swej matki, — ale znajomość tę zerwała, czując nadmierny już ciężar wyzysku, któremu uległa.

W Sobotę d. 14 Grudnia, wracając z roboty do domu, zdziwiła się, ujrawszy drzwi mieszkania

swego otworem, a wewnątrz siedzącego Vodable'a, który jej oświadczył, że jej córeczka Alexandryna poszła do szkoły, a on sam został, aby pilnować mieszkania. — Zaniepokojona, nie widząc wracającej na śniadanie, jak zwykle, córki udała się Malfilâtre do kommissarza policyi — gdzie jednak żadnej jej nie dano o dziecku wiadomości. Przeszedł dzień cały na poszukiwaniach daremnych — a wieczorem stroskana matka powróciła do domu bez dziecka.

Nazajutrz po wyjściu Vodable'a wyrobnica spostrzegła w szafie brak niektórych rzeczy pewnej wartości, a razem widząc zpod łóżka wystającą jakąś szmatę — pociągnęła ją ku sobie, lecz, znalazłszy pewien opór, odsunęła łóżko, i ujrzała pod niem — trupa własnego dziecka!.. Biedna dziewczynka była zaduszona biczem, czterokrotnie okreconym około szyi!.. Policya i wezwany lekarz stwierdzili, że Vodable przed uduszeniem dziewczynki dopuścił się na niej jeszcze innej zbrodni!..

W kilka dni później poszukiwany przez policyę zbrodniarz stawił się do kommissaryatu, wyznał wszystko, i z krwią zimną zasiadł do śniadania.

Zdaje się, że tego rodzaju występki nie potrzebują żadnych komentarzy — i żadne miłosierdzie Boskie czy ludzkie, nie może zmyć tej haniebnej plamy, której źródło głębiej leży, niż w zepsuciu i przewrotności jednego człowieka.

Nakoniec parę dni temu niejaki Regad, urzędnik z biura prefektury, protegowany od lat wielu przez p. Rouix'a, dyrektora spraw departamentalnych, zabił go w biurze z rewolweru, wskutek, jak mówił, odmownej odpowiedzi na słuszne zażalenia winowajcy.

Dziś, jak powiadają dzienniki, Regad siedzi najspokojniejszy w więzieniu i zdaje się nie mieć żadnego poczucia zbrodni, którą popełnił.. Je z wielkim i dobrym apetytem — i mówił sędziemu śledczemu, p. Athalin'owi, że teraz dopiero pozbył się wietkiego ciężaru — i zwaliwszy swego wroga, żyje bez troski i kłopotu!

Ale dosyć! — Takie i tego rodzaju zbrodnie — zatrzymują przerażone spojrzenie, nietylko moralisty, filozofa lub statysty, ale najprostszego, najzimniejszego człowieka. Chore musi być ciało, a którem występują tego rodzaju bolączki. Co głównie uderza w tem wszystkim, to, że pobudka, że powód, do tak potwornych zbrodni — jest blahy — żaden prawie; jest to coś jakby obojętne, moralne okrucieństwo, które się pastwi, spokojnie, bezwiednie!

Zamykam tę posępną rubrykę, i oby Bóg dał, abym do niej nie miał potrzeby wracać na przyszłość! Przejdźmy do rzeczy spokoju i rozwoju, do tego, co daje nauka i rozum, do tego, w czem człowiek miotany burzą zawsze znajdzie schronienie, przytułek — do tego, o czem mówił p. Thiers, ilekroć uchylał się pod ciężarem spraw publicznych: „*à mes chères études!*“

Z ogromnej liczby nagromadzonych książek wybierzmy te, które się odznaczają i formą i przedmiotem od tych powszedniej miary utworów, czy utworów, których stosy całe giną w tej bezdennej przepaści, z kąd nikt nie wraca, aby nam opowiedział ich losy!

Oto najpierw książka z dość dziwnym tytułem: *Les mémoires des autres*, — my-byśmy powiedzieli popolsku: „Cudze pamiętniki“. Autorem jej jest znakomity Juliusz Simon.

Książka napisana przez Juliusza Simona jest zawsze ważnym wypadkiem literackim; ta zaś jeszcze ze względu na to, co w sobie zawiera, będzie miała wielkie literackie powodzenie. Spokojna i pogodna filozofia, prostota i prawdziwość uczuć, pociągający czar doskonałości nieposzlakowanej języka, zapewnijają naprzód jej powodzenie wśród ludzi, którzy dziś jeszcze mają odwagę kochać się w tych zaletach pisarskich.

Książka ta składa się z siedmiu rozdziałów, z siedmiu odrębnych części: *Ojczyzna, Harun B. j, Monsieur Antoine* (dawniejszy poseł do pruskiego Reichstagu z Metz), *Piotr Guérin, Libert, Colas, Collasse et Colette, Uczeń szkoły normalnej w 1832*. Nie są to wcale zmyślane i wymyślone rzeczy. Grunt jest prawdziwy i absolutnie praw-

dziwy. Juliusz Simon wyniósł to wszystko ze swych wspomnień. Większa część życia jego upłynęła wśród rzeczy i ludzi, o których właśnie pisze. Znał on każdego z tych ludzi, których nam daje, więcej, niż sylwetki, bo prawdziwe portrety żyjące i żywe. Często nawet był on ich przyjacielem i powiernikiem. Nie mam tu nic więcej do dodania. Jest to jedna z książek najmilszych, jakie czytałem — a styl jej tak czysty, przejrzysty, jak kryniczna woda.

Każdy się na to zgodzi, że lepszych i zręczniejszych rozpowszechniaczy wiedzy nad Francuzów niema na świecie. Wszystko się u nich na to składa: język, sposób zapatrywania się na naukę, i to usposobienie umysłowe, w którem wyobrażenia, a lepiej może powiedzieć, fantazya, największą odegrywa rolę.

Oto mamy przed sobą nowy dowód tej bardzo cennej właściwości. Jest to nowe dzieło znanego astronoma p. Kamila Flammariona pod tytułem *Urania*. Uczony astronom, piszący o astronomii — zdałoby się, że tu niema miejsca dla tego *profanum vulgus* — przyzwyczajonego do lekkiej strawy romansów. Otóż zupełna pomyłka. Czyta się to bez znużenia i bez ekliwości. Książka zajmuje, jak najlepsza i najnowsza powieść.

Największy wdzięk Flammariona stanowi to, że, mówiąc o tak ważnych i poważnych rzeczach, autor nie używa ani zawilichy wyrażen, ani słów górnych, podszytych grecczyzną albo łaciną. Prostu w formie powieści wytlómaczył nam to wszystko, co najnowsze odkrycia i spostrzeżenia naukowe dały nam poznać we względzie mechaniki i statyki ciał niebieskich. Zachwycony małym posągiem Uranii, bohater Romutu porwany jest w marzenie, w bezgraniczne obszary *przestrzeni*. W tym locie szalonym, wśród nieznanych szlaków, zaledwie ma on czas obejrzeć konstellacye, wśród których szybuje unoszony przez swą przewodniczkę cudowną. Widzi, jak słońce nasze stało się maleńką gwiazdką, która się ukazuje wśród konstellacyi Centaura, kiedy tymczasem nowa światłość nieznana, dziwna, błękitnawa, dochodzi go z tych przestworów, w które go unosi Urania.

„Jakież było moje zdziwienie, kiedy spostrzegłem naraz, iż się zbliżamy do całkiem błękitnego słońca, jakby puklerz jaki, wykrojony w najpiękniejszym błękitie naszego nieba ziemskiego. To szafirowe słońce było środkiem planetarnego systematu, oświeconego jego dziwnem światłem...“

„W tej chwili przelatujemy — mówiła mi Urania, — słoneczny systemat „Gammy Andromedy“, którego nie widzisz, tylko małą część jedynie; składa się on bowiem nie z jednego, ale z trzech słońc: błękitnego, zielonego i pomarańczowego.“

Ale zamknięty w granicach mojej przestrzni, przemileję o wszystkich tych cudach natury, które poeta-astronom opisuje nam w swej podróży ku progom Wieczności. Czas powrotu na ziemię nastąpił — jesteśmy, — mówi Urania — w takiej odległości od ziemi, że światło, które nas ztamtąd dochodzi, potrzebuje na to tyle czasu, ile go nas dzieli od epoki Juliusza Cezara... I tu rozwija cały systemat obrachunku czasu i przestrzni, z taką jasnością, że ta jest dostępną dla każdego z najmniej oświeconych nawet.

To go prowadzi do rozważania naszego ziemskiego bytu i do stwierdzenia wiekuistej nieskończoności duszy naszej. Stanowi to przedmiot drugiej części książki.

„Bojaźń śmierci, — powiada autor, — jest czystem złudzeniem. Dwie hipotezy przedstawiają się w tym względzie. Kiedy zasypiany z wieczora, możemy nie zbudzić się wcale jutro, ale ta alternatywa, gdy rozmyślamy o niej, nie przeszkadza nam wcale zasnąć. Przecież, 1-o albo wszystko się kończy wraz z życiem i my się nie przebudzimy nigdy i nigdzie, a w takim razie jest to sen nieprzerwany, i który dla nas ma trwać wieczyście; albo też 2-o dusza, przeżyje ciało i my się zbudzimy gdzieindziej, aby ciągnąć dalej byt nasz, a w takim razie przebudzenie nie może być straszne.“

Nie mogę, niestety, zatrzymać czytelników moich nad pobytem tak ciekawym na planecie Marsa, której naturę nauka zgłębiła i rozjaśniła ostatnimi czasami. Tu autor roztacza przed nami najsubtel-

niejsze zasoby i własnej nauki i prawdziwie czarującej fantazyi; ale muszę skończyć. Oddając największe pochwały, chciałbym, aby to dziełko przetłómaczone zostało u nas; weszłoby to doskonale w nasze ramy poświęcone powieściom, a przyniosłoby większy i trwalszy niż one pożytek.

Słowo jeszcze o influency, kiedy już takie nadano jej nazwisko. Ponieważ jest to dziś stwierdzoną rzeczą, nawet przez arcy-uczoną akademię medyczną, że panująca dziś epidemia w Paryżu jest jaknajdotkliwszej natury i chociaż połowa Paryża leży w łóżku, nie mam potrzeby zajmować się nią w inny sposób, jak tylko uczynić zmianę, że jest, i że dokucza ludziom, choć ich nie zabija. Macie zresztą tożsamo u siebie, a więc nie trzeba obliczać chorych, bo i sam tylko-co się pozbyłem tego gościa. Influenza—to nowy wynalazek imiennika, dla starej, naszej katarowej gorączki. Tylko że w tej chwili, zamiast trzymać się skromnie kilku lub kilkudziesięciu nieostrożnych ludzi, nagabuje wszystkich, winnych czy niewinnych. Rozpuszczono szkoły na święta, zrobiono co można, żeby utrudnić tę propagandę nosową, a reszta będzie jak Bóg da!

W tej chwili urząd nadzorczy nad teatrami „Stara Anastazyja“ jak go tu przezwano—otóż ta Anastazyja zadarła z poetą Franciszkiem Coppée, kładąc swe wszechmocne *veto* na przedstawienie w Teatrze Francuzkim jego jednoaktowej komedii pod tytułem: „Pater“, dlatego, że akcja się odbywa podczas wybuchu Komuny w 1871 r. Ale ponieważ są to luźne pogadanki dzienników, czekam więc, i do przyszłego odkładam listu wierniejsze zdanie sprawy, sam bowiem przeczytam wówczas oskarżoną sztukę i dokumentnie własny sąd wydam o tem zjściu.

Wiecie już, że Oktawian Feuillet z początkiem Stycznia rozpocznie w *Revue des deux Mondes* druk nowej powieści pod tytułem „Honor artysty.“ Dobrze świadome kulisów dzienniki powiadają, że znakomity autor ma z tej powieści przerobić sztukę, którą obiecał złożyć w ręce dyrektora teatru „Gymnase.“

## ECHA LITERACKIE.

**9. Nowy oryginalny podręcznik historii powszechnej.** Zasłużony autor *Dziejów wewnętrznych Polski*, z którego działalnością naukowo-literacką pismo nasze starało się zaznajomić czytelników na początku roku przeszłego, w dalszym ciągu dwóch dawniej wydanych części swego kursu historii powszechnej parę miesięcy temu oddał na użytek oświaty i wykształcenia średniego pierwszy tom *Historji Nowożytniej*, doprowadzający ją do roku 1648.

Zdobia ten tom 64 rysunki, przeważnie podobizny osób dziejowych, a tablice genealogiczne jedenastu dynastji królewskich i książęcych oraz mapa geograficzna Europy pomiędzy latami 1500—1648, przy końcu tomu dodane, dopomagają mają czytelnikowi do orientowania się w zbiegowisku występujących osób i ustawicznym wirze zmian terytoryalnych. Rysunki, z wielką starannością wybrane, choć niezawsze piękne, zawsze jednak w czasie najbliższe osobistościom i przedmiotom wyobrażanym, odznaczają się po większej części starannem odtworzeniem. Na wyszukiwanie takich najwiarogodniejszych świadectw plastycznych autor nie szczędził starań i z właściwym sobie naukowym zapałem zdaleka je nieraz ściągając, aby tylko czytelnikowi swemu dać, nie w samej osnowie jedynie, ale i w jej przyozdobieniu i niejako uzupełnieniu plastycznym, najprawdopodobniejszą prawdę historyczną. Mapa Europy nie czyni zadość potrzebie z powodu swojej maleńkości i—czarności. Napisy pod lupą tylko odczytywać można, a zasobność względna nomenklatury nasuwa domysł, że pierwotnie chyba autor na większą skalę mapę swoją uło-

żyć musiał, i dopiero później, z jakichś niewyjaśnionych powodów, nadano jej mniejsze, a użyteczności pozbawiające ją, rozmiary.

Podręczniki historii powszechnej nie mogą być owocami zrywanymi z drzewa samoistnych badań, ani też wynikami bezpośredniego zetknięcia się myśli z ogromem życia przeszłości. Od podręczników wymagamy tylko oparcia się na dobrych opracowaniach, porządnego układu treści, jasnego wykładu faktów, wysłowienia wreszcie dobitnego w obrazach, określeniach i sądach. Tych sądów nie jest zawiele, a dzisiejsza dążność do przedmiotowości, którą się uczeni tak nasycali lubią, ma w autorze niepedantycznego, ale wiernego wyznawcę. Powyższe przymioty karłoladne podręczników znajdzie czytelnik i zarazem uczeń w *Historji Nowożytniej* T. Korzona. Łączenie szczegółowych dziejów z ogólnymi, narodowych z powszechnymi, monochronizmu z synchronizmem było zawsze i—jest najtrudniejszym zadaniem metody dziejopisarskiej. Pod tym względem autor nasz w ogóle z powodzeniem rozwiązał zasieki napotymane w tym nieprzejrzanym lesie wypadków, jaką jest zawsze przeszłość świata opisywana czy też odtwarzana w historii. Do tego, co pierwaj już powiedział, odwołuje się nie zbyt często, a powtarzania się wystrzega. Styl porządny, zwięzły a jasny, stanowczy, unikający pólslówek „może“—„niejako“—„prawdopodobnie“—„zapewne“—umie nawet żywymi barwami malować. (Odkrycia, Iwan Groźny, Samozwaniec, Ludwik XIII i Richelieu). Książkę czyta się z zajęciem i łatwo się ją przyswaja.

Długi wykaz dzieł użytych lub uwzględnionych przy pisaniu pierwszego tomu *Historji Nowożytniej*, na str. 535/9 książki, przekonywa o obfitości pomocniczego zasobu, a zarazem naukowej prawowitości wyboru. Mniejszą lub większą dokładność i bystrość w użytkowaniu tych pomocy—specjalna tylko krytyka dziejopisarska wskazać ma siłę i prawo. Więcej, niż podręcznikową już samoistność pracy widać w przedstawieniu wypadków, ludzi i powszechności narodowych, ilekroć autor wkracza w dziedzinę Słowiańszczyzny. Poglądy odznaczają się tu oryginalnością, ale nie wszędzie mają i czują nad sobą strychulec wszechstronnej, przez czas tylko dojrzewającej rozwagi, któryby je zawsze do poziomu prawdy przyprowadzać umiał. Często myśli wywiązujące się na razie pod działaniem poznawanych faktów niezasażenie otrzymują wagę, doniosłość i logiczną władzę sądów wydawanych już ostatecznie. Nowością wprowadzoną przez autora do historii powszechnej jest nazwa „Rzeczpospolita polsko-litewska“,—nazwa odpowiadająca budowie samego organizmu politycznego.

Dzieło takie w pierwszym wydaniu nie może być wolnem od błędów, nietylko korektywnych: mieli je najslawniejsi i najlepsi przed Korzonem. Obowiązkiem autora jest teraz tylko pilne dostrzeżenie, zaznaczenie, a wreszcie sumienne poprawienie tego, coby poprawy wymagało. Błędy korekty znalazło się znacznie więcej, niż ich sam autor dostrzegł i sprostował.

Skorowidz osób—szkoda, że i nie miejscowości—zajmujący stron. 521—533, we trzy łamy na stronnicy ułatwia korzystanie z dzieła.

Wydanie jest krakowskie, nakład G. Gebethnera i Sp., druk Wł. L. Anczyca i Sp. pod zarządkiem Jana Gadowskiego. Papier dobry, odbicie staranne, z wyjątkiem owej mapy i kilkunastu wyobrażeń rysunkowych. Książka wcale spora: str. 1—519, 521—533, 535/9, III/IV, mapa i 6 knlb tablic genealogicznych.

W drugim wydaniu powinien autor daty dniowe bitew i innych wypadków przenieść do osnowy głównej a w przypiskach wskazywać stale monografie, aby światlejszy czytelnik mógł zbliżać przyjrząc się osobistościom i wypadkom najważniejszym, które w podręcznikach historycznych z konieczności w ogólnych tylko zarysach zdaleka ukazywać się mogą.

**10. Ciężkich czasów nie znać** na warszawskiej firmie nakładowej Teodora Paprockiego i Sp.; porusza się ona z taką swobodą ruchów i skrzętnością, z tak niezmordowaną przedsiębiorczością, że ustawiczne jej wydawnictwa służyć mogą za dowód przejmującej ją nawskroś potrzeby dzia-

łania—młodzieńczej prawdziwie energii. Pomijając belletrystykę, same już nakłady poważne ilością swoją słusznie zwracają na siebie uwagę. Po takich wydawnictwach z dziedziny przyrodoznawstwa, jak znakomite dzieła Daniella i Thompsona, po całym szeregu opracowań, mających głównie na celu dostarczenie praktycznych do życia wskazówek, po użytecznym podręczniku „Historji cywilizacji“ Seigneboşa—idąc raz obraną drogą: dopomagania umysłowego wykształcenia ogółu pomieniona księgarnia podjęła obecnie wydanie „Zasad filozofii“ Boiraca. Jest to niejako katechizm filozoficzny, obejmujący to, co niezbędnie wiedzieć, nad czem pomyśleć potrzeba, żeby przy wymawianiu wyrazu „filozofia“, nie znajdować się w próżni, czego echa nawet oddać niezdolnej. W pierwszym zaraz zeszytce o 112 stronicach przebiega się umysł, który dobrze to, czego naucza, przetrwał, zna literaturę, wie, jak z niej korzystać, a nadewszystko umie i ma co czerpać z samego siebie. Stanowisko jego nie jest ani pozytywistycznym, ani idealistycznym: jest rozumowo-niepodległym. Boirac patrzy na człowieka swobodnie, jako na istotę psycho-fizyczną i zjawiska jego życia, jego wewnętrzne konstytucyjne urządzenie pojmuje wszechstronnie. P. Adolf Dygasiński wybierając do przekładu dzieło rozumnego Francuza, dobrze się zasłużył tej nieleżnej u nas drużynie umysłów, które, od filozofii nie uciekając, owszem szukają w niej dla siebie krzepkości, wprawy w myśleniu, i tego, panującego nad wszystkim wdrożenia się w metodę. Dzieło Boirac'a składa się z pięciu części: po Psychologii idzie Logika, potem Etyka, a zakończy właściwy wykład teorii filozoficznej Metafizyka, której Boirac bynajmniej na baniacy, tak jeszcze przed kilku laty popularną, skazywać nie myśli. W piątej części „Zasad“ otrzyma czytelnik treściwy rys dziejów filozofii. Całość przekładu polskiego obejmie od 35 do 40 arkuszy dużej ósemki. Tłómaczowi zalecić potrzeba podawanie nadal tytułów dzieł pomocniczych, nie w przekładach francuzkich, ale w oryginałach: dla porządku naukowego jest to niezbędne, a przy zasobności piśmienictw obcych wielkiego nakładu pracy wymagać nie będzie.

**II. Wybór arcydzieł Veullot'a, spolszczonych przez M. W. zeszyt I;** Warszawa, w Drukarni Noskowskiego, 1890 r., str. 1—130 i spis—16°. Zapewne, są w literaturze francuzkiej rzeczy domagające się żywej spolszczenia od veullotowskich arcydzieł; ale, gdy je już raz spolszczono i wydano, przyznać potrzeba, że wybór godny jest takiego mistrza stylu i apostoła przekonania, jakim był głośny na cały świat ultramontanin. Polskie wydanie książeczki usprawiedliwia się jej przeznaczeniem dla świata, który wogóle myśleniem, ani czytaniem męczyć się nie lubi, a ma swoje upodobania, swoje miłości umysłowe, kojące się sobie tylko właściwymi środkami. Zbiór składa się z samych małych cacek.

Tłómacz—jest nim kobieta—amiał nie skrzywdzić autora, co wobec takiego stylisty stanowi już pewną zasługę. Pojęcia Veullota o szlachcie i szlacheństwie, o religii, jako najwyższej orędowniczej i sprzymierzeńcu, w wielkich chwilach cierpienia i walki śpieszącym człowiekowi z pomocą,—gdyby się w owym *un monde qui s'ennuie* rzetelnie przyjęły, jakżeby go uszlachetniły i życiu ogólnemu na pożytek wyszły!

Sliczną, kobieco-tkliwą jest *Szkola serca*. Kocha ono najpierw zachwytem młodości; kocha wszystko i wszystkich. Ale młodość zawodzi, nie zostawiając nawet żalu. Człowiek zaczyna się wdzierać pod górę dojrzałości, wyciąga ręce do przyjaciela i w przyjaźni znajduje *udoskonaloną miłość*. Ale prosty kaprys wdziera ją sercu potrzebującemu zawsze coś kochać. A drugi ten zawód gorszym był od pierwszego: „tę, która mnie zdradziła, mogłem przynajmniej nienawidzić; przyjaciela mego tylko *kochać nie mogłem*“. I z pierwszą zmarszczką zjawiała się tęsknota za minioną bezpowrotnie pierwszą miłością, a po tęsknocie przyszło uczucie osamotnienia, duchowej nicości. Wtedy stanęła przed Veullotem istota o promiennej twarzy. — „Co tu robisz?— spytałem:— Modłę się. — I o co? — O twoje szczęście. — Kimże więc jesteś? — Jestem

sługą twoją.—A dawno tak czuwasz nademną? — Od twego przyjscia na świat.“

— Nie widziałem cię dotąd. — Boś na mnie nie spojrział. — Wiesz, że cię kochać nie będę, że ufać ci nie chcę, i nie opuszczasz mnie jeszcze? — Nic mię nie zniechęci. Jestem na ziemi dla twego szczęścia.“—I Venillot zalał się łzami. Znany wszyscy tę nieznaną, która do niego przyszła.

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Grudniu 1889 r.

Niejednokrotnie słałem wam już odgłosy z potęgającej się u nas klęski emigracyjnej, która co najlepsze siły wywodzi poza granice Poznańskiego, często za morze, częściej do bliższych Niemiec, z kąd, jeśli niektórzy wychodźcy wracają, najczęściej nie wracają już, jakimi wyszli. W Stanach Zjednoczonych pracuje—a po większej części bieduje—do półmiliona Polaków. W Brazylii zastęp ich rośnie z każdym dniem, czego dowodem powstające tamże polskie czasopisma. W Londynie cały jeden okrąg stolicy zalany jest falą polskiego wychodźstwa, jak to niedawno na publicznym mityngu stwierdzał lord Brabazon. W Paryżu ma być obecnie 9.000 rodaków naszych, w Berlinie jest ich około 40.000. Teraz zaś Saxonii i Westfalii głównie się zasilają polskim robotnikiem, w tem przekonaniu, iż pod odpowiednim i energicznym kierunkiem polski robotnik nie ma równego sobie. Z tego-to ocenienia czy przecenienia sił naszych robotniczych urosło nowe niebezpieczeństwo, nowe jakby targowisko białemi murzynami, nowe frymarczenie ludzkim potem i znojem, któreby, zaiste, zasługiwało, aby jaki Lavigerie ogłosił krucyatę ratującą pokrzywdzonych. Pokazuje się bowiem, iż niesumienni agenci na wielką skalę w samym środku Europy prowadzą poprostu handel niewolnikami.

Przedsiębiorcy ci w niczem nie ustępują pośrednikom izraelskim, których matactwa obecnie głośny proces wadowicki odsłania. Agent werbownik otrzymuje 3 do 9 marek od głowy dostarczonego robotnika. Niech-no mu się uda wysłać wczesną wiosną nadzwyczajny pociąg z tysiącem parobków lub dziewcząt, zamówionych na całą kampanią buraczaną, od zasadzenia cukrodajnej rośliny aż do jej wydobycia w jesieni, natenczas do kieszeni chowa czystego zysku od tysiąca do trzech tysięcy talarów. Że zaś nie jeden równie dobrze robić musi interessa, dowodem tych kilkadziesiąt tysięcy polskich robotników, zagnanych przez los do Saxonii, gdzie nie tylko w kopalniach pracują w pocie czoła, nie tylko do najcięższych w fabrykach zaciągają się zajęć, ale jeszcze po folwarkach rolnych polska dziewczka, polski parobek zaliczani bywają do najkonieczniejszej gruntowej czeladzi i inwentarza. Robota nie jest wprawdzie ani lekka ani łatwa, zarobek stosunkowo nie tak znaczny, aby samą wysokością swoją wywodzić na obczyznę, ale jest stałym; w najmie niema tych przerw, które np. w zimie skazują nieraz ludność wiejską na przymusowe bezrobocie. A więc przeludnienie, brak chleba i pracy, ciekawość zaostrzona, chęć zebrańa nieco grosza na wiano, na krowę, na kawałek ziemi,—wiodą tysiące i tysiące naszych włościan za głosem obiecujących im złote góry agentów.

Smutne nieraz czekają ich doświadczenia, istotne niebezpieczeństwa i gorzkie rozczarowania. Prócz strat materialnych, które często ponoszą z powodu niesumienności agentów, na miejscu spozstrzegają dopiero niewolę, w jaką się zaprzędali. Niema już dla nich Niedzieli ni święta, niema wytchnienia, ani opieki żadnej. Koszary dla robotników zbudowane stają się zbyt często środowiskiem najokropniejszego zepsucia. Sa-

xonia, zarazą socjalizmu dotknięta, próbuje jad swój wszczepić w nowo-przybyłych. Nie brak kusicieli odwodzących od wierności Bogu i ojczyźnie. Jednym słowem: bieday ten lud wystawiony jest na tysiączne szkody duszy i sumienia, ciała i kieszeni.

Tu i owdzie poważne głosy, nawet wśród Niemców, odzywają się przeciw tak niesumiennemu wyzyskiwaniu pracy i wolności ludzkiej, przeciw nowoczesnemu werbownictwu i niewolnictwu; ale dotąd żaden środek skuteczny nie został przedsięwzięty, i karawany robotnicze podawnemu zmierzają ku Westfalii, Saxonii lub Meklenburgii. Znalazł się atoli mąż boży, godzien zająć miejsce obok kardynała Lavigerie, i, ulitowawszy się nędzy tego ludu, postanowił służyć mu, ratować go na obczyźnie, utrzymywać go w rodzinnej poczciwości, bronić od społecznych chorób i zepsucia. Rzecz dziwna, ten prosty zakonnik, który nie rad, aby jego imię stało się głośnem, sam z urodzenia jest Niemcem, a do tego Berlińczykiem. Dawno atoli zamieszkałszy w Polsce, zrosł on się tak dalece ze swem otoczeniem, iż dziś najchętniej wśród Polaków mieszka i pracuje, a przekonawszy się, iż w ogniach wierności jedno z drugim ściśle musi być połączone, aby łańcuch nie pękł w całości—że jedno odstępstwo zbyt często do drugiego prowadzi: stał się wśród naszego wychodźstwa apostołem swojskości, zarówno, jak i uczucia religijnego. Przedziwne jego listy i opowiadania najlepiej nam pozwoliły wnikać w życie naszego ludu na obczyźnie. Przejeżdżał on z jednej miejscowości w drugą, wszędzie pokrzepiając i ciesząc słabnących i tęskniących. Tu znajdował gromadę 5.000 naszych włościan, tam 2.000. Wszędzie zatrzymywał się dni kilka dusze podnosił i zbroidł, a lud, wdzięczny, cisnął się ze wsząd ku niemu, rad usłyszeć słowo Boże, słowo polskie. Bywało, wystarczyło kaznodziei odezwać się pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, aby cały kościół odrazu głośnym wybuchał płaczem. Dźwięk mowy ojczystej poprostu upajał tych roztesknionych biedaków, widok zaś ich wzruszenia, ich szczerej pobożności i prostaczęj poczciwości budował samych nawet Niemców, którzy powtarzali między sobą, iż mowa posiadająca taki wpływ czarowny żadną miarą zaginać nie może.

Polskie wychodźstwa mają pewien dar organizacyjny, pewną potrzebę skupiania się i wytwarzania sobie ognisk rzekomo rodzinnych. Niemało dobroczynnych śladów swego istnienia zostawiła po sobie nasza stara emigracja w Paryżu, a kilka z jej instytucji doczekało się urzędowego uznania „pożyteczności publicznej“ (*utilité publique*).

Ow znaczny misyonarz poznał niemało takich ognisk i stowarzyszeń, rozsianych po różnych stronach szerokiej działalności i olbrzymich Niemiec. W samym Berlinie doliczył się ośmiu przerożnych związków naukowych czy dobroczynnych, wśród tamecznej kolonii polskiej. Jest ich po jednym w Dreźnie, w Lipsku, w Kolonii, w Hamburgu i t. d., a wszystkie zaraz zakładają biblioteki, prenumerują dzienniki polskie, próbują rozstrzelone skupić siły i w braku rodziny rodzinne stworzyć ognisko. Wielkiem też dobrodziejstwem dla tych wszystkich instytucji i kółek jest dostarczanie im książek, zwłaszcza dobrych książek, i wogóle dopomaganie ich skromnym początkom, jakimibądź ofiarami czy datkiem.

Choć bowiem wiele dodatnich wrażeń wywiózł ze swego objazdu gorliwy misyonarz, choć podziwiał w tych kolonistach polskich, którzy nanow pracą Chrobrego podbijają dzierzawy, docierając po Słowiańską Łabę, nie zaślepiał się na wszystkie zewsząd niebezpieczeństwa i własne tym biedakom poświęcając siły, wzywał pomocy ludzi dobrej woli, aby ratować i ocalać od zagłady te wysnięte ku Zachodowi posterunki naszego ziemiańskiego znoju...

A tymczasem niepodobna położyć tamy fali emigracyjnej, wyrwijającej się „za chlebem“. Ruszyło się znów liczniejsze do Ameryki wychodźstwo. Ciągnie tam lud nasz przyrodzona u każdego chłopa wszelkich narodowości chciwość ziemi. Słyszcy on, że w Ameryce zadarmo ją rozdają,

i może płynąć za morze, w nadziei zdobycia sobie własnego zagonu. Prussy zachodnie w tej żądzy przodują. Ludność tamtejsza jest samodzielniejsza i bardziej przedsiębiorcza od naszego wielkopolskiego włościanina, co się uwydatnia i w statystyce wychodźstwa. Podczas, gdy w r. 1888 wyemigrowało z Księztwa 12.434 osób t. j. o 7% ogólnej liczby mieszkańców prowincyi, z Prus zachodnich wyszło jednocześnie 12.616 osób t. j. 0,9%. Różnica ta jeszcze się bardziej uwydatnia, gdy uwzględnimy, że prawie tylko katolicka ludność emigruje, zniechęcona kościelnymi i szkolnymi stosunkami, które stóre się u nas od ustania niecnego kulturkampfu nie poprawiły; w stosunku bowiem do ogólnej liczby katolików, procent emigrantów z minionego roku z Księztwa wynosił tylko 1,1%, z Prus zaś 1,8%.

Owa-to żądza posiadania ziemi mogłaby zostać zaspokojoną w łatwiejszy i bliższy sposób: przez parcelacyą chyłącą się do upadku większej własności. Tego też zadania chwycił się oburacz Bank Ziemski, mimo zniechęcających trudności, stawianych mu przez dość mętą w tej kwestyi procedurę legalną w Prussach. Zaraz na wstępie swej działalności bank się przekonał, iż tylko w tym kierunku rozwijać ją winien i może. Podczas bowiem gdy ofiarowane pośrednictwo wywołało zaledwie 8 wypadków popytu na większą własność, na mniejsze parcele odrazu znalazło się do stu propozycyi, przeważnie z Prus, gdzie lud rządniejszy i dojrzalszy, a do zakupna ziemi stawiają, nie osiedli już na własnym gruncie gospodarze, lecz najemnicy, których marzeniem było zarzeć z oszczędzonego grosza i dorobku kupić sobie na własność kawałek ziemi. Bank Ziemski dotychczas w nader skromnych rozwija się warunkach, ale to umiarkowanie pewniejszym jest zadaniem pomyślnego rozwoju, aniżeli gorączkowe czynności zbyt nagłych i śmiałych początków.

Społeczeństwo nasze w tej chwili jest nieco zaniepokojone pewnym rozstrojem panującym w łonie zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Słyszeliśmy nawet, iż wszyscy jego członkowie złożyli swe dymissye w ręce prezesa, hr. Augusta Cieszkowskiego, co jednak nieporozumień nie usunęło, a wiele sprowadza kwasów i zamętu. Nie omieszkałam wam donieść o dalszym tej sprawy przebiegu.

Nieraz już musiałem wyrzekać na ustanie ruchu księgarskiego wśród nieprzyjaznych warunków obecnych. Ciszę głuchą przerywa jednak raz po raz jakaś ważniejsza publikacya. Mimo śmierci nieodżałowanego ks. Biskupa nominata Korytkowskiego pomnikowe jego dzieło o arcybiskupach gnieźnieńskich metropolitach i prymasach, w dalszych ukazuje się zeszytach. Obecnie wyszedł zeszyt 1-szy tomu czwartego, obejmujący dwa nad wyraz ciekawe życiorysy: Macieja Łubieńskiego (1641—1652) i Jędrzeja Leszczyńskiego, następcy poprzedniego, który siedział na gnieźnieńskiej stolicy do r. 1658.

Zrazu proboszcz miechowski, później biskup chełmiński, poznański, kujawski, Maciej Łubieński był ideałem cnoty pasterskiej na prymasowskim tronie, a świętobliwość jego zostawiła mnogie i błogie wspomnienia; brakło mu tylko politycznej przenikliwości i bystrogo imania się spraw publicznych. Wielki gnieźnieńskiej stolicy i katedry dobroczyńca, powtarzającym się godłem swem herbownem Pomiarz naznaczył liczne swe dla ozdoby domu Bożego ofiary i zabiegi. Jędrzej Leszczyński pytał natomiast za złupienie starożytnej świątyni przez Szwedów, i sam niemal wszystkie lata swych prymasowskich rządów spędził na tułaczce, w wielkim ubóstwie i utrapieniach.—Następny zeszyt obejmować będzie życiorysy brata jego i następcy, arcybiskupa Wacława Leszczyńskiego, oraz Mikołaja Prażmowskiego. Jest wszelka nadzieja, iż uczony ks. kanonik Łukowski doprowadzi do pomyślnego końca olbrzymie przedsięwzięcie przerwane przez zgon ks. Korytkowskiego.

Wspomniane przez nas *Wędrowki po mieście* p. Marcellego Mottego, już trzeciego doczekały się tomu, wzrastające w istne roczniki najbliższej przeszłości naszego miasta. Dr W. Łubieński przed paru laty obdarzył nas cennymi materiała-

mi do słownika łacińsko-polskiego średniowiecznej łamy i starożytności polskich. Obecnie, jakby w dalszym ciągu tych skrętnych poszukiwań, podaje wam rozprawę grupującą w porządku alfabetycznym pod ogólnym tytułem *Militaria*, wszystko, co się w staropolskim słownictwie do sztuki wojskowej odnosi. Wysoko to cenna praca, gorąco miłośnikom nauki polecona. Podręczniki do historii mnożą się z nierównym powodzeniem.

Koncert Mierzińskiego wynagrodził nam za wód zrobiony przez p. Sembrich-Kochańską, kapryśną Divę, która na Poznań bardzo jest niełaska. Teatr nasz, jak może, próbuje się utrzymać w nad wyraz trudnych okolicznościach. Zresztą życia mało, a smutków i bied rozlicznych bardzo wiele. Ciężki rok daje się we znaki nie samym tylko rolnikom, odbijając się złowrogo i na ruchu handlowym lub przemysłowym naszej dzielnicy. Trudno mi jeszcze pominąć przykre wrażenie, jakie tu wywołała powieść utalentowanej autorki *Devajisa* p. t. *Między ustami a brzością pułharu*. Rzecz napisana z zupełną nieznaną jomością stosunków, niejednokrotnie ubliża naszym ceniom, kreśli zaś całkiem niepodobne do prawdy dzieje miłości wielkiego pana niemieckiego, pruskiego junkra, który ze skrajności teutońskich uprzedzeń wpada w polonomanie, i dla pięknych oczu Wielkopolanki gotów jest przedzierzgnąć się w prawowitego Poznańczyka.

## Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu otwartą została wystawa szkół zawodowych i rzemieślniczych. Wzięło w niej udział 240 szkół, które nadesłały 2.000 okazów.

— **Pomiędzy Petersburgiem a Moskwą** odbyto próbę telefonowania na drutach telegraficznych. Na obu stacyach ustawiono po trzy aparaty; dźwięki dochodziły czysto i wyraźnie, okazało się zatem, że nie potrzeba tu koniecznie drutów miedzianych, jak to utrzymywano dotychczas.

— **Petersburskie stowarzyszenie pielęgnowania zdrowia** otrzymało nadesłaną mu przez jednego z lekarzy broszurę, traktującą o przenoszeniu chorób zakaźnych przez książki przechodzące z rąk do rąk.

— **Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** wylosowało do rozdania na premia dla członków swoich dzieł sztuki 101. Do koła losowego włożono 5.155 numerów akcyj. Rzeźbiarz, zamieszkujący Rzym, Wiktor Brodzki, ofiarował Towarzystwu znajdującą się na jego wystawie grupę z marmuru i brązu: „Ucieczka z Pompei podczas wybuchu Wezuwiusza“, przeznaczając pieniądze ze sprzedaży tego dzieła na zwiększenie kapitału, gromadzonego przez Towarzystwo na budowę własnego gmachu. Komitet Towarzystwa uchwalił przesłanie podziękowania ofiarodawcy, którego sztuka nasza zalicza do najszlachetniejszych swych przedstawicieli. Cenę sprzedaży oznaczy zebranie artystów i znawców, zgromadzonych dla rozstrzygnięcia konkursu rzeźbiarskiego, który ma się rozstrzygnąć d. 15 stycznia, a który zgromadził dzieła 15 wystawców: Welońskiego, Brodzkiego, Godebskiego, Rygięra, Kurzawy, Syrewicza, Lewandowskiego, Woydygi i innych.

— **Towarzystwo ogrodnicze** przyznało dwie nagrody pieniężne ogrodnikom za długoletnią pracę w jednym miejscu. Pierwszą nagrodę w kwocie rs. 100 otrzymał Jan Michniewicz, który przez lat 54 pełnił służbę ogrodnika w Czerwonym Dworze u hr. Benedykta Tyszkiewicza; druga nagroda rs. 75, dostała się Stanisławowi Gaworowi za 47 lat służby w Ulesiu, u p. Tymowskiego. Kandydatów zgłosiło się 45-ciu.

— **Otwarcie wystawy nasion, roślin gospodarskich i produktów nabiałowych oraz gospodarstwa domowego**, oznaczone na d. 10 Lutego, nastąpi dopiero d. 15 a wystawa trwać będzie przez dni dziesięć, to jest do d. 25 lutego. Opóźnienie w otwarciu spowodowanym zostało przez przedłużone trwanie „Wystawy sztuki stosowanej do przemysłu“ o miesiąc cały.

— **Międzynarodowa Wystawa Przemysłowa**, otworzyć się mająca w Szkocji, w Edynburgu, w Maju bieżącego roku mieć będzie dwa tylko działy. Dział pierwszy obejmuje specjalnie przemysł elektryczny, dział drugi—przemysł i wynalazki

— **Czeskie Towarzystwo literackie** „Svatozor“ mające na celu wspieranie literatury i jej przedstawicieli, oraz wdów i sierot, pozostałych po literatach, odbyło walne zebranie pod przewodnictwem Riegera, na którym wykazano, że Towarzystwo posiada 50.000 zł. reńskich czystego mienia, a nadto rozporządza znacznymi funduszami z zapisów, z pomiędzy których najważniejszym jest zapis dziekana Czermaka na wydawnictwa naukowe 21.000; zapis Naprstka, 6.000 zł. reńskich na coroczne premium dla najlepszej sztuki teatralnej, zapis Hawliczka 37.000 zł. reńskich na cele potrzeb publicznych. Obecnie leśniczy Tischer złożył na ręce Towarzystwa 26.000 złr. na wybudowanie na cmentarzu wyszehradzkim Panteonu, gdzieby składano prochy najslawniejszych literatów czeskich.

— Podróżnik po Afryce, Leopold Janikowski, otrzymał od królowej hiszpańskiej order Izabelli II, za zasługi oddane Hiszpanii w jej posiadłości afrykańskiej Orisco przez układy, które w imieniu gubernatora Hiszpanii prowadził z ludożerczymi krajowcami. Za powrotem z podróży miał Janikowski odczyt w Krakowie o przygodach swoich wśród ludożerczego pokolenia Panguę. Według prelegenta przedsięwzięcie kardynała Lavigerie utworzenia armii murzyńskiej, która by pod dowództwem oficerów Europejczyków czuwała nad rozbójniczymi Arabami, którzy okrutnie napadają wsie murzyńskie, ogniem i mieczem je niszczyć i uprowadzając murzynów na handel nie-

wolnikami, jest niepraktyczne. Wielka rozległość wybrzeży morskich, na których odbywają się te nieczne dramata, nie pozwala na czujność skuteczną i zdaniem naszego podróżnika, do celu prowadzić tu mogą jedynie misje, któreby na wracając Arabów na chrześcijaństwo, umoralniały ich, a z drugiej strony cywilizując murzynów nauczyły ich skuteczniejszych środków samoobrony. To jedyna droga zatamowania odwiecznego środka gwałtów i bezprawia na kontynencie czarnych.

— **Spółka sprzedaży owoców**, zawiązana przed dwoma laty w Warszawie, upadła dla braku odpowiedniego kapitału obrotowego, zwłaszcza, że należało jej wykupić patent 1-ej gildyi, co wraz z innymi koniecznymi wydatkami tworzyłaby 1.500 rs. kosztów.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje do wiadomości, iż w poczet *Członków Rzeczywistych* Towarzystwa zapisali się: ks. Teodor Pajęczkowski, ks. Alexander Sałaciński, ks. Ludwik Zaleski, ks. Jan Szyliński, ks. Antoni Żmigrodzki, ks. Karol Żmigrodzki, ks. Józef Kuczyński, ks. Maciej Brykowski, ks. Bronisław Kozakiewicz, ks. Bronisław Żychowski, Radaca Tajny Jan Minkiewicz, D-r Alexander Chmielewski, Antoni Podbielski, Leon Skoczynski, Władysław Wyszynski, Alexander Polzeniusz, Alexander Wexker, Kazimierz Spinek, Felix Rybczyński, Ryszard Ordyniec, Juljan Jankowski, Zygmunt Durowski, Waclaw Bogucki, Hilary Święczkowski, Antoni Frankowski, Stanisław Smoliński, Stanisław Merman, Jan Stankiewicz, Antoni Müller, Karol Karpiński, Piotr Piasecki, Tomasz Arkuszewski, Franciszek Achramowicz, Tadeusz Chęciński, Antoni Olesiński, Jan-Teofil Klochowicz, Władysław Borzęcki, Jakób Broniewski, Waclaw von Jerin, Władysław Kulwiec, Konstanty Wozdecki, Jan Kaftal, Michał Landau.

Przyjąć raczyli obowiązki *Członków Korespondentów* Towarzystwa: M. Szymanowski w Krzywym-Rogu, Leopold Cymerski w Irkucku, Marya Makowska w Grójcu, Felix Stromezyński w Petersburgu, Franciszek Brumorski w Mławie, Jan-Teofil Klochowicz w Olszanach.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci i 4-ty powieści pod tytułem: *Odtrącony*, przez Reneusza Bazin.

# Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Dra Józefa Starkmana

Zeszyt I, zawierający między innymi: „angielska choroba, apetyt, apetyt wzbudzający, apoplekcyja, arszennik, bandaże, biegunka, bladaczka, bielizna, blansz, bliźnięta, Bordeaux, bóle, ból głowy i t. p. wyszedł z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena Zeszytu kop. 30, pocztą kop. 36.

**TREŚĆ:** Życie powszednie przez M. Ilnicką. — Trzej Królowie (wiersz) przez M. I. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Władysław Zelenki przez Juliusza Stattlera. — Nowiny Paryżkie. — Echa literackie. — Korespondencya Zagraniczna. — Z chwili bieżącej.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 3-ci i 4-ty powieści, pod tytułem: *Odtrącony* przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego. — Przegląd mód. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 27 Декабря 1889 года.



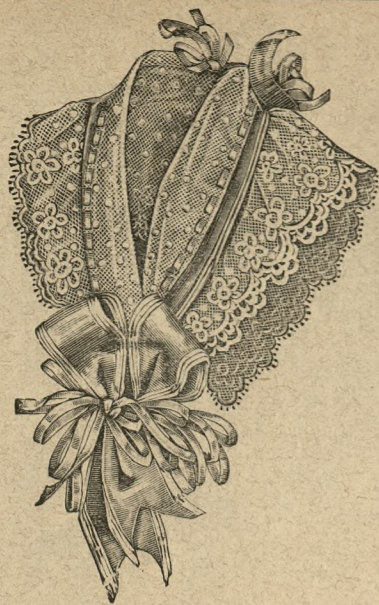
**Przeгляд mód**

zamieszczonym został w dzisiejszym numerze na przedostatniej stronie.

**Ubranie na głowę dla młodej panienki.**

Rycina Nr 6.

Tasiemkę z agramanu 26 i 28 cent. długą



Nr 1. Chusteczka z koronki i wstążki.

**Przybranie stanika z koronki i aksamitnej wstążki.**

Rycina Nr 9.

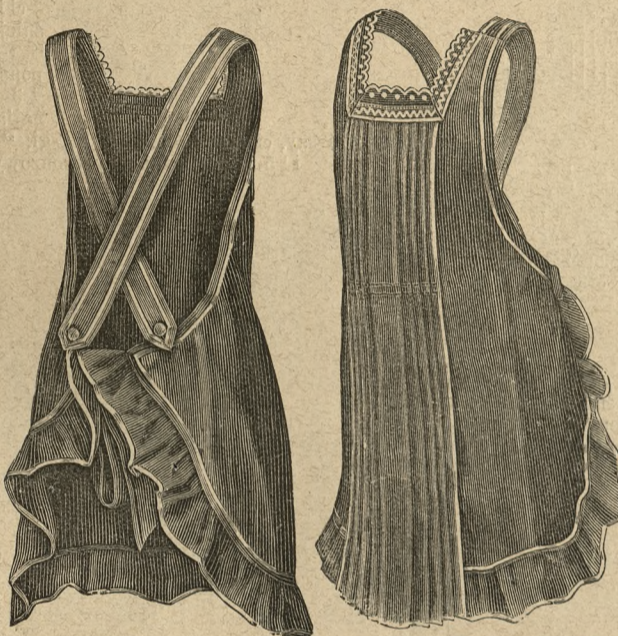
Na to przybranie potrzeba dwóch końców koronki czarnej, każda 112 cent. dług. a 26 cent. szer., zeszyć razem brzeg równy z brzegiem lukrowatym. Część środkową zmarszczyć na 12 cent. wysokości a lukrowaty brzeg koronki, przedstawiający brzeg górny umocować na 10 cent. odległości od środka. Następnie środkową część dolnego brze-



Nr 3. Stanik z materiału jedwabnego ozdobiony pasmanterią. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13-21).



Nr 2. Stanik z materiału jedwabnego ozdobiony haftem. (Kr. i op. pier. str. tabl. Nr 1, fig. 1-12).



Nr 4 i 5. Fartuszek dla panienki od 6-8 lat. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 22 i 23).



Nr 6. Ubranie na głowę.



Nr 8. Garnitur z „margeritek“ do balowej sukni.



Nr 7. Garnitur z róż polnych do balowej sukni.

obszyć jedwabną niebieską wstążeczką, przybrać pukielkami z wstążeczki niebieskiej 1/2 c. szer. i połączyć podług ryciny.

**Garnitur z róż polnych do sukni balowej.**

Rycina Nr 7.

Garnitur dla młodej osoby uwinięty z kwiatów i pączków róż polnych oraz z liści bluszczowych. Złożony jest z zaokrąglonego trenu 40 cent. obwodu, od którego spada 6 lekko uwitych gałęzi od 30 do 60 cent. długości, tren ten służy do ułożenia poniżej stanu lub też z boku. Podłużny bukiet do stanika i gałązka mniejsza do wpięcia we włosy.

**Garnitur z dużych margeritek do balowej sukni.**

Rycina Nr 8.

Garnitur zwinięty z białych margeritek. Składa się z paska 54 cent. długości z bukietem z lewego boku, oraz z wianków do przybrania rękawów podług ryciny i małego tafiku na głowę.



Nr 9. Przybranie stanika z koronki i aksamitnej wstążki.

gu otoczyć na 18 c. długości paskiem z wstążki aksamitnej 6 cent. szer. a 65 cent. dług., którego brzegi poprzeczne z tyłu należy zapinać na hafteczki. Przyszyć pokryć szlakiem haftowanym na jedwabnej gazie, której wystające wysoko zęby zaaplikować na koronkę. Przez nacięcia szlaka przeciągnąć aksamitną wstążkę 112 c. długą, która tworzy rodzaj szelek. Przybrać kokardami aksamitnymi podług ryciny.

**Podłużna serweta wykonana w rodzaju japońskim. Ścieg płaski, gałązkowy, dziergany i krzyżowy.**

Rycina Nr 15. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 68).

Serwetka złożona z trzech części oddzielnie wykonanych, łączonych z sobą atlasem. Przenieść deseń fig. 68 na odpowiednią wielkość materiału przezroczystego welnianego, koloru popielatego i obwieść kwiatki rozpolowioną filozelą jasnego i ciemnego koloru terracota. Gałązki wykonać jedwabiem koloru oliwkowego w kilku cieniach. Gwiazdeczki i żyłki na prze-

mian zielonym i „viel or“ jedwabiem ścięciem gałązkowym. Motyla wykonać ścięciem gałązkowym i rybiej łuszczy, żółtym, czarnym, niebieskim i brązowym jedwabiem. Figury kwadratowe narożne ścięciem długim, jedwabiem ciemno-oliwkowym rzędy krzyżujące się, jasnoniebieskim jedwabiem ścięciem gałązkowym, otaczające zaś łuski tegoż koloru jedwabiem ścięciem łańcuszkowym. Paseczki znajdujące się po bokach ścięciem gałązkowym i łańcuszkowym jedwabiem „viel or“ oraz krzyżowaniem wykonanym jedwabiem ciemno-oliwkowym. Temże samym jedwabiem szlak ścięciem płaskim, łańcuszkowym i gałązkowym, oraz dzierganym jedwabiem ciemnym terracota. Połączenie części wypełnić atlasem odpowiedniego koloru 5 cent. szer. Zaopatrzyć lekką podszewką z materiału jedwabnego i wykonać półtorne ząbki dziergane.

### Serweta na stół do kart ozdobiona haftem.

Rycina Nr 16.

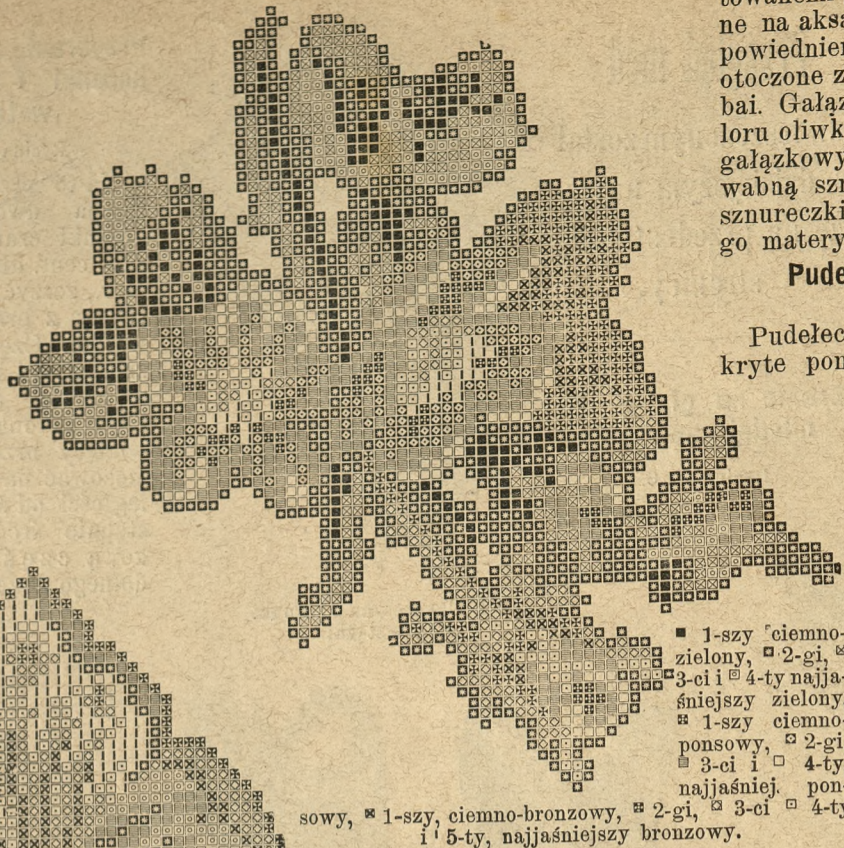
Serweta 90 cent. długości a 66 cent. szer. wykonana na brązowego koloru biał, wycinana w ząbki na około i przyozdobiona haf-



■ 1-y ciemny szafir, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty, najjaśniejszy niebieski; ■ brązowy ciemny, □ brązowy jasny, □ piaskowy, ■ żółty, \* ciemno-ponsowy, □ jasno-ponsowy, □ różowy, ■ oliwkowy.

■ 1-szy ciemno-zielony, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty najjaśniejszy zielony, ■ 1-szy ciemno-brązowy, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty jasny brązowy, ■ 1-szy ciemno-popielaty, □ 2-gi i □ 3-ci jasny popielaty, □ różowy, ■ biały, □ żółty.

Nr 10-14. Figury aplikacyjne na serwetę na „chaise longue“.



■ 1-szy ciemno-zielony, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty najjaśniejszy zielony, ■ 1-szy ciemno-ponsowy, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty, najjaśniejszy brązowy, ■ 1-szy ciemno-brązowy, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty, najjaśniejszy brązowy.

townami gałązkami gry. Te ostatnie wykonane na aksamicie koloru białego, malowane odpowiednimi farbami podług prawdziwych kart, otoczone złotym sznureczkiem i naklejone na biał. Gałązki wykonać włóczką hamburską koloru oliwkowego i terracota ścięciem płaskim, gałązkowym i pocztowym, oraz naszywać jedwabną sznelą, jedwabiem „bouclé“ i złotym sznureczkiem. Zaopatrzyć podszewką z lekkiego materiału wełnianego.

### Pudeleczo na gry towarzyskie.

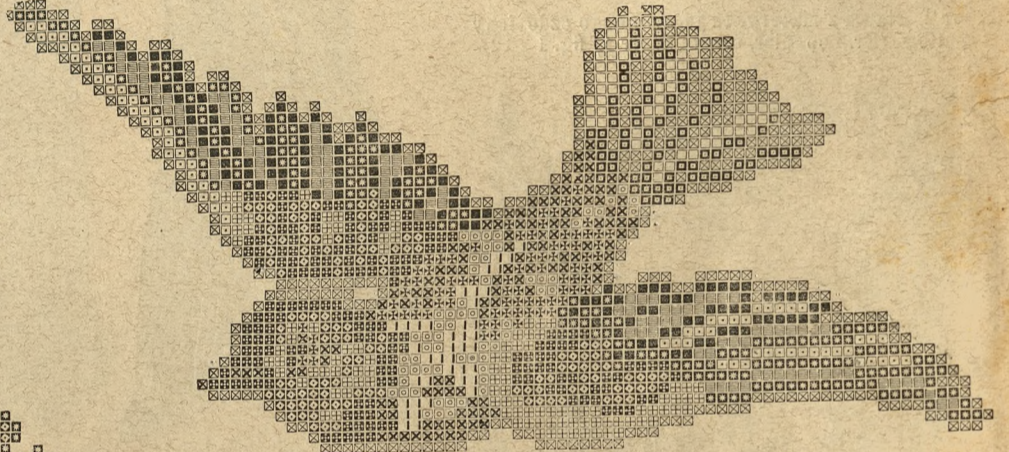
Rycina Nr 17.

Pudeleczo z tektury formy trójkątnej pokryte ponsową skórą i wyklejone wewnątrz granatowym atlasem, służy do drobnych przyrządów gier towarzyskich, jak: metalowy talerzyk, blok i t. d. Pokrywa ozdobiona haftem: bukiet narcyzów z niezapominajkami, wykonać rozpołowioną filozelą w odpowiednich kolorach lub też malować farbami.

### Chusteczka z włóczki puchowej wykonana na drutach.

Rycina Nr 18.

Chusteczka trójkątna wykonana włóczką puchową dowolnego koloru na grubych drewnianych lub kościanych drutach i otoczona rzędem

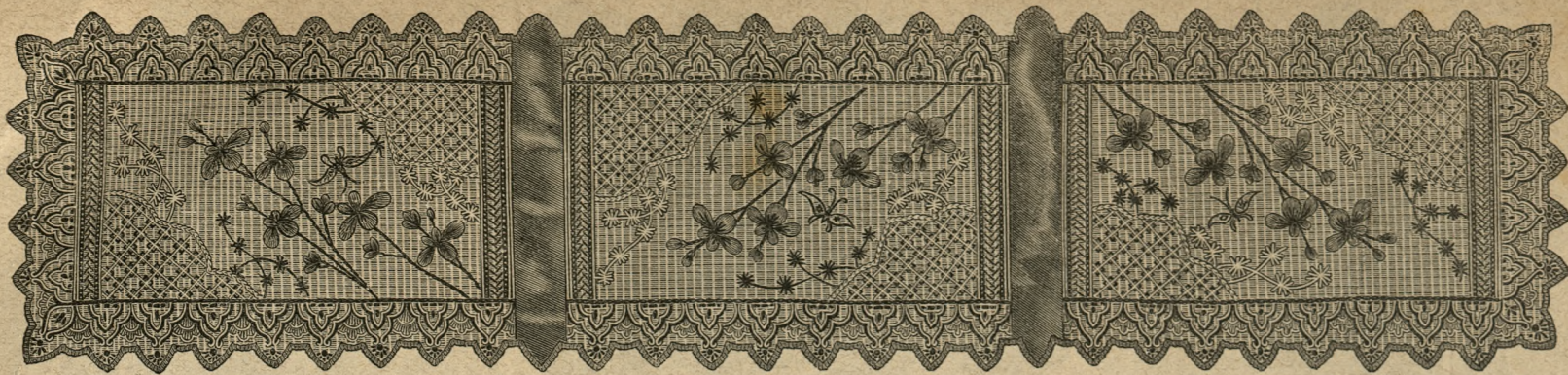


■ 1-szy ciemny brązowy, □ 2-gi i □ 3-ci jasny brązowy, □ różowy, \* brązowy, □ jasno-brązowy, □ piaskowy, ■ żółty, ■ 1-szy szafirowy ciemny, □ 2-gi i □ 3-ci najjaśniejszy niebieski, □ Oliwkowy.



■ 1-szy ciemno-zielony, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty najjaśniejszy zielony, ■ 1-szy ciemno-brązowy, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty jasny brązowy, ■ 1-szy ciemno-popielaty, □ 2-gi, ■ 3-ci i □ 4-ty najjaśniejszy popielaty.

Haft gobelinowy.



Nr 15. Serwetka podłużna na stół w rodzaju japońskim. Ściegi: płaski, łańcuszkowy, gałązkowy, dziergany i krzyżowy. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 68).

pukli. Rozpocząć od środkowego rogu na założeniu 2 oczek, na których wykonywać dalszą robotę tam i na powrót sposobem zwyczajnym, od drugiego rzędu należy z każdego brzegu przybierać dwa oczka tak, ażeby 100 rząd liczył 200 oczek. Po wykończeniu roboty oczka odczepić i otoczyć chusteczkę puklami wykonanymi szydełkiem, jak następuje: ciągle na przemian 1 ściśle ocz. w następny rząd oczek, 12 powietrznych oczek, 1 o. opuścić, na koniec 1 ściśle łań. o. w 1 ściśle ocz. tejże kolei.

## Przegląd mód.

Materyały i suknie balowe. — Nowe suknie w magazynie „au printemps“ paski szwajcarskie.

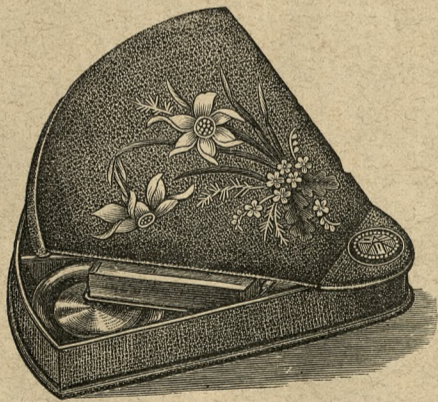
Ponieważ słyhać o balu studenckim a za nim pójda i inne, więc jeszcze słów kilka o balowych sukniach, na które materyały są istne dzieła sztuki. Radzę czytelniczkom, które nie były na wystawie, dla ciekawości iść do obszernego magazynu p. Makowskiego na placu teatralnym, a spędzą tam godzinkę na upojeniu, jakby w artystycznym salonie. Tiule bawełniane we wszystkich kolorach, 3 łokcie szer. po 80 kop., to już nikt nie powie że drogie, pod te tiule jedwabie także po 80 kop., — no i materyał na śliczną balową suknię od 10 do 15 rs. wyniesie. Dalej jedwab' surowy „kongi“ po rs. 1 kop. 20, — na te nosi się tiule haftowane, których wolanty szer. są po 2 do 3 łok. Owe zaś śliczne suknie, są to gazy jedwabne, zwane muslinem indyjskim, które są także bawełniane i jedwabne, bawełniane białe tylko tworzą śliczne sukienki dla pańienek z kwiatkiem od pańien Hofman Nowy-Świat 41, lub pańi Siwińskiej Krakowskie - Przedmieście 61. Jedwabne zaś haftowane drogie, ale też nie pokrywa się nim całej sukni, daje się tylko szeroki przód i zdobici stanik. Wystawcie sobie czytelniczki na białym tle gałęzie różowo-koralowej jarzębiny, rzucane podłożono koralowym lub białym jedwabiem, — dalej bukiety heliotropa na tegoż koloru gazie, — dalej szerokie gierlandy kwiatów różnokolorowych, zdobiące dół przodu. Dalej, co tylko francuzom może przyjść na myśl, metalowy haft różnokolorowy na tiulu lub gazie. Na białym tiulu haft srebrem i białą pelą — na czarnym złotem i miedzią i tym podobne cuda balowe, na które się przesadzały fabryki francuzkie, chcąc pokazać światu co to jest zmysł francuzki pod względem pomysłu i fantazyi. Brokarty przechodzą wszystko, cośmy dotąd w tym kierunku widzieli, — dawniej były róże malowane, dziś są kwiaty i desenie „en relief“ rzeźbione, — jeden z nich oryginalnie odrobiony

koloru świeżego masła lub śmietanki, na tle „faillé“ był wypukły aksamitny deseń tego koloru, a w odstępach ćwierć łokciowych przechodziły wąskie pasy czarne z kilku rzędów grubej szneli niby ułożone, — tak pięknego układu nie widziałam. Co do roboty sukien balowych, to daliśmy w Nr I tyle wzorów, że doprawdy uważam za zbyt liczne słowami powtarzać to, co się na rycinie widzi — dołożę tylko, iż krótkich zupełnie sukien nie nosi się wcale i że dziś razi tak w salonie jak na ulicy suknia krótka — wszystkie suknie balowe lekkie są tylko nieco powłóczyście „robe ronde“, ciężkie jedwabne są długie, ale nigdy przesadnie. U pańi Grąbczewskiej (Erywańska 9), która obniżyła cenę fasonu sukien, a sprowadziwszy krojczynię aż z Wiednia, gdzie jak wiemy krój jest wyborny, widzieliśmy już kilka ślicznych sukienek balowych dla młodych wprawdzie osób, bo tylko młode balują.

Jedna żółta gazowa, haftowana w białe lilje z boku na żółtym atlasie, który się płaci po 60 kop. za łokieć, ze śliczną plisowaną bretą i dużemi bufiastemi rękawkami, była przeznaczona dla brunetki, dla drugiej siostry była suknia niebieska tiulowa, haftowana białą pelą na podłożeniu fularowem, przybrana białymi kameljami, zkrzyżowana na przodzie pasek szwajcarski z białych wstążek mieszanych niebieskimi dopełniał toalety. Na pasek taki potrzeba 16 do 20 łokci wstążki w dwóch kolorach — robi się na merli sztywnej, pokrywa 3 rzędami wązko wstążką wycina spód, aby tworzył ażurowy szwajcarski pasek, fasonu gorsecika zdobi 3-ma małemi kokardkami z przodu, a w tyle puszcza się 6 lub 8 końcy długich do samej ziemi z dwóch wstążek, które rozrzucając się zdobią cały tył sukni. Wyszukawszy podobny fason w zeszłorocznym „Bluszczu“, a nawet i bez tego, zawezwawszy inteligencyę na pomoc, można go z łatwością zrobić w domu. Płóść łokci wstążki zależy od wzrostu osoby — mniej jak 16 nie można, z 20 łokci jest bardzo suty. Słyszeliśmy, że w jednym z pierwszorzędnych magazynów zapłacono za taki pasek paryzki rubli 40. wyraźnie czterdzieści. L. C.



Nr 16. Serwetka haftowana na stół do kart.



Nr 17. Fudełeczko na drobiazgi do gier towarzyskich.

## Suknia z sukna i aksamitu ze szlakiem wykonanym szydełkiem.

Rycina Nr 22, 20 i 25

Spódnica z piaskowego koloru kamlotu z przodu długości 107 cent. z tyłu 110 cent. a obwodu 206 cent., zaopatrzona w dolnym brzegu falbanką plisowaną 5 cent. szer., zaś na 23 cent. i 56 cent. odległości od górnego brzegu zaopatrzona paskiem 84 cent. długości na przeciągnięcie tasiemek do ściągania spódnicy. Wierzchnia część z lewego boku w kierunku przedniego środka pokryta od górnego brzegu częścią 44 centim. szerokości aksamitu zielonego, która to część zmarszczona w górnym brzegu na 28 cent. szer. połączona jest po bokach z falbaną z sukna piaskowego 45 cent. wysoką a 200 cent. objętości mającą. Dolny brzeg tejże objęty aksamitem zielonym na 16 cent. szer. Brzegi boczne i części dolne ozdobione pasmanterią wykonaną szydełkiem, której wzór oryginalnej szerokości przedstawia ryc. Nr 20. Stojący kołnierzyk oraz pasek z aksamitu, rękawy aksamitne bufiaste odpowiednio przybrane.



Nr 18. Chusteczka z włóczki puchowej wykonana na drutach.



Nr 19. Dywanik i poduszka na „chaise longue“ ozdobione aplikacją.



Nr 21. Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w kraty do ryc. Nr 26. (Kroj odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 32-42).

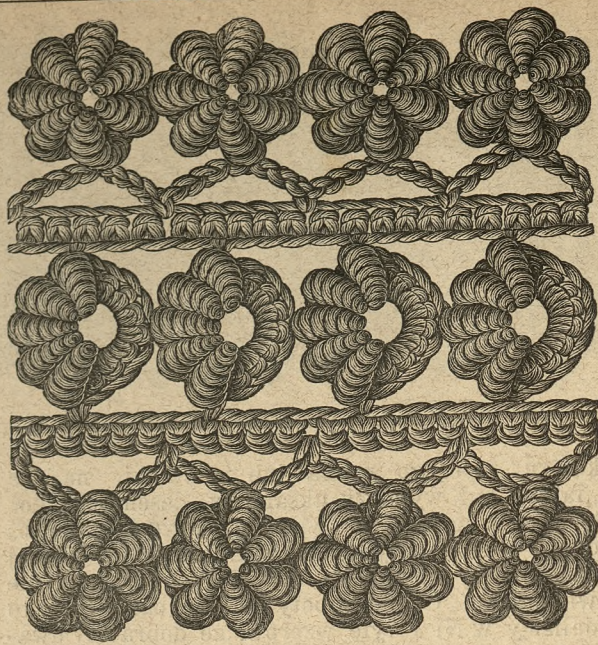
### Przepisy gospodarskie.

#### Kawior prasowany.

Kawior prasowany tak bardzo dziś w użyciu będący, ażeby się nie zsycał zawinięty w papier albuminowy (białkowy patrz przepis „Jedynie



Nr 25. Suknia z sukna i aksamitu ozdobiona szlakiem wykonanym szydełkiem podług ryc. Nr 20 (do ryc. Nr 22).



Nr 20. Szlak do ozdoby sukien, okryć etc. Robota szydełkowa (do ryc. Nr 22).

praktyczne przepisy“) obwinąć na wierzch gałgankiem zmoczonym w zimnej wodzie i wyciśniętym. Trzymać w chłodzie, ale nie na mrozie.

### Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rumiana z jarzynkami.
2. Sztufada z kartofelkami (krokiety).
3. Makaron zapiekany z szynką i parmezanem.
4. Indyczka z kasztanami.
5. Krem waniljowy.



Nr 22. Suknia z sukna i aksamitu ozdobiona szlakiem wykonanym szydełkiem podług ryc. Nr 20 (do ryc. Nr 25). Kraj odwr. str. tabl.

Opisanie rycin: Nr. 1, 19, 21, 23 i 26 w przyszłym umieszczeniu.

### UWAGA.

Tablica krojów dołączona do N. 1 Bluszczu, służy też do numeru dzisiejszego



Nr 23. Paltocik dla pani-enki od 14 — 16 lat. (Kroj odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 43-49).

Nr 24. Pelerynka dla młodej pani-enki. Kr. i op. pier. str. tabl. Nr IV, fig. 24-30.



Nr 26. Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w kraty do ryc. Nr 21. (Kroj odwr. strona tabl. Nr VI, fig. 32-42).